



Cara Summers



Szczęście i brylanty

Tytuł oryginału: *The Life of Riley*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

- Pod tym względem masz zupełną rację. - Riley nawet nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć na papugę, która przycupnęła na oparciu stojącego w pobliżu kuchennego krzesła. Bard zazwyczaj komentował wszystkie wydarzenia pod warunkiem, że znalazł dobry cytat z Szekspira. I tym razem trafił w dziesiątkę.

Riley wyjęła z plecaka dwie małe torebki. W plastikowej była kanapka, już mocno nadgryziona zębem czasu, z zieleńjącą szynką. Stanowiła dowód rzeczowy na to, że Ben - brat Riley - przez pomyłkę znów wziął nie swój plecak. Jaka niespodzianka kryła się w papierowej?

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

- Tak, wiem. Zaraz to wyrzucę.

W chwili kiedy wyrwała kanapkę z jej środowiska, przed lodówką poruszyła się góra gęstego futra. Błysnęły oczy i rozległo się głuche warczenie.

- Nie, Beowulfie. Nawet o tym nie myśl.

Riley błyskawicznie wrzuciła kanapkę do kosza na śmieci pod zlewem i zatrzasnęła drzwi szafki.

- Zgnilce nie należą do psiego jadłospisu.

Poklepała futrzany łeb i z zaciekawieniem spojrzała na papierową torbę.

- Być albo nie być... Oto jest pytanie - skonstatował Bard.

- Nie. Pytanie brzmi: mam tam zajrzeć?

Wcale nie chciała się mieszać do prywatnych spraw Bena. Brat i stryj pracowali razem - ale każdy na pół etatu - w prowadzonych przez nią „usługach dla zwierząt”, Foster Care. Żeby wszystko szło sprawnie, każdemu przydzieliła oddzielny plecak, z kalendarzem dyżurów, wszelkimi instrukcjami, karmą i kluczami do mieszkań klientów. Przez ostatnie pół roku zdążyła się dowiedzieć, że takie rozwiązanie nie daje rezultatów. Przynajmniej nie w przypadku jej brata i stryja. Ci dwaj ciągle mylili plecaki i wiele rzeczy trzeba było powtarzać od początku.

Lecz to nie wyjaśniało sprawy papierowej torby. Riley zawsze używała plastikowych. Wysypała zawartość na stół i przez dłuższą chwilę wpatrywała się ze zdumieniem w brylantową broszkę. Z niepokojem zmarszczyła brwi. Była prawie pewna, że ją już gdzieś widziała. W ciągu ostatnich kilku tygodni czworo jej klientów zameldowało o różnych kradzieżach. Wczoraj była u niej policja. Riley znalazła się na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Stryj Avery stwierdził wręcz, że powinna wynająć adwokata. Riley nie zamierzała jednak pójść za jego radą. Żaden klient mimo wszystko nie uważał jej za złodziejkę. Wzięła broszkę do ręki i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Foster Care, słucham?

Uniosła broszkę do światła.

- Mówi kapitan Duffy - warknął głos po drugiej stronie. - Pani Foster?

- Tak - odparła. W tej samej chwili rozpoznała broszkę. Drobiny światła odbitego od brylantów zatańczyły na przeciwległej ścianie. Klejnot wymknął się ze zdrtwiałych palców Riley i z cichym stukiem upadł na podłogę.

Beowulf szczechnął krótko.

- Źle się dzieje w państwie duńskim - zauważył Bard.

Riley z osłupieniem spoglądała na broszkę, którą już kilkakrotnie widziała u Hattie Silverman.

- Dokonano następnej kradzieży. Przed chwilą dzwoniła jedna z pani klientek, Hattie Silverman. Proszę przyjść dzisiaj na posterunek, punktualnie o wpół do drugiej - warknął kapitan Duffy.

Riley klęknęła na podłodze. Próbowwała sobie przypomnieć szczegóły ostatniego spotkania z Hattie. W głowie wirowało jej od natłoku myśli. Skąd ta broszka w plecaku Bena? Jak to teraz wyjaśnić policji?

- Nie wiem, czy pan mi uwierzy, kapitanie... - zaczęła. Podniosła broszkę i wstała. - Ale...

- Żadnych wykrętów - uciął Duffy. - O wpół do drugiej. Jeśli pani nie przyjdzie, to wyślę po panią patrol. Zrozumiano?

- Ale...

- Hattie Silverman zeznała, że jej zdaniem, nie ma pani z tym nic wspólnego - ciągnął Duffy. - Wiem jednak, że była pani wczoraj w jej mieszkaniu. Wyprowadzała pani psa, gdy pani Silverman poszła do lekarza. Czy to prawda?

Już drugi raz w ciągu paru sekund broszka upadła na podłogę. Riley nie mogła zapanować nad drżeniem dłoni.

- To prawda - skłamała. Wcale nie była u Hattie. Wczoraj wypadał dyżur Bena.

- O wpół do drugiej - przypomniał Duffy i odłożył słuchawkę.

Strach chwycił Riley za gardło. Przecież to niemożliwe... Owszem, w ostatnich dniach dość często sprzeczała się z Benem. Chodziło głównie o jego naukę. Ale to przecież nie powód, żeby go zaraz podejrzewać o

kradzieże w domach klientów! Musi być jakieś inne wyjaśnienie tej całej afery.

- Źle się dzieje w państwie duńskim! Z namysłem popatrzyła na brylanty.

- Oj, co prawda, to prawda...

Pisnęło jakieś przestraszone zwierzę. Riley Foster mimochodem spojrzała przez ramię i w tej samej chwili zderzyła się z idącym tuż za nią mężczyzną. Przez moment miała wrażenie, że wpadła na skałę.

- Przepraszam - wymamrotała i uniosła głowę. Prawdziwy twardziel, pomyślała. Ujrzała przystojną twarz, okoloną długimi, zaczesanymi za ucho, ciemnymi włosami. Ważniejsze jednak były jego oczy. Gdzieś już widziała podobne, chłodne i niemal hipnotyzujące spojrzenie... Wtem sobie przypomniała. To był wzrok drapieżnika z dżungli, patrzącego na swoją ofiarę.

- Nic się pani nie stało?

Ostry, lekko chropawy głos doskonale pasował do tego wizerunku. Riley powstrzymała odruch, żeby odwrócić się i uciec. Przypomniała sobie, co naprawdę było przyczyną zderzenia.

- Wszystko w jak najlepszym porządku - odpowiedziała prędko, chociaż prawdę mówiąc, już dawno nie było jej tak... dziwnie po zwyczajnym skądinąd wypadku. Szerokim łukiem ominęła „skałę” i w tłumie przechodniów szybko przeszła przez jezdnię na zielonym świetle. W porze lunchu ciepły wiosenny dzień wyciągnął z biur większość urzędników pracujących na Manhattanie. Teraz już pomału wracali do swoich zajęć.

Riley z niepokojem spojrzała na zegarek. Pierwsza dwadzieścia. Zostało jej dziesięć minut do spotkania z kapitanem. Dobrze wiedziała, że nie może się spóźnić. Jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji, co zrobić w

sprawie skradzionej brylantowej broszki Hattie Silverman. Raczej nie mogła oddać jej policji. Chciała uniknąć aresztowania. Ostatnie przesłuchanie aż nadto wskazywało, że uważają ją za podejrzaną.

Rozejrzała się po ulicy. Zaczęła nadśłuchiwać. Do jej uszu dobiegła kakofonia dźwięków - jęk klaksonów, wyrwane z kontekstu strzępki rozmów, długie syczenie otwieranych drzwi autobusowych... Nagle znów rozległ się przyciszony pisk wystraszonego kota. Dobiegał chyba z wąskiej przecznicy, którą przed chwilą minęła.

Riley mocniej zacisnęła rękę na pasku plecaka i zawróciła. Przystanąła na moment u wylotu zaułka, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Jasne kwietniowe słońce zupełnie zniknęło za wysokimi ścianami okolicznych domów. Po pięciu krokach zobaczyła jakieś poruszenie w pobliżu muru. Podeszła bliżej i przykucnęła przed potarganą kotką.

- Wszystko w porządku - powiedziała łagodnie. Przysunęła się o centymetr, lecz w tej samej chwili kotka parsknęła gniewnie i uciekła.

Na szczęście pobiegła w głąb ślepego zaułka. Przycupnęła w kącie, wśród pokruszonych cegieł.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Riley i powoli poszła za kotką. Zwierzak zamiauczał przeraźliwie.

- Tak, wiem, że się bardzo boisz. Chyba stoczyłaś ciężką bójkę - mruknęła, widząc na grzbiecie zwierzęcia powyrywane płaty sierści. Kotka jednak miała bystre spojrzenie i nie wyglądała na chorą. Trzęsła się tylko jak galareta.

- Ciekawe, jak teraz wygląda twój przeciwnik - powiedziała Riley uspokajającym tonem. Powoli wsunęła rękę do plecaka i wyciągnęła nieco suchej kocięj karmy. - Założę się, że jesteś głodna.

Położyła jeden okruch jakieś pół metra od siebie, a pozostałe układała coraz bliżej, tworząc z nich ścieżkę. Kotka ostrożnie powąchała karmę i łapczywie ją chwyciła. Riley obserwowała z ulgą, jak zbliżała się w jej stronę. Ostatni okruch leżał na jej dłoni.

- Wiesz co? Nauczyłam się tej sztuczki w kinie, kiedy po raz pierwszy widziałam „E. T. ” - przyznała. Miękkim ruchem chwyciła kotkę za kark, przytuliła do siebie i wolną ręką otworzyła plecak. Schowała zwierzę do środka. Z doświadczenia wiedziała, że musi je dobrze zamknąć, bo uciekłoby przy pierwszym hałasie.

- Już... - mruknęła. Sprawdziła, czy kotka będzie miała dość powietrza.

- Ładny plecak, mała.

Riley drgnęła. Powoli uniosła się z kolan i spojrzała za siebie. To, co zobaczyła, napełniło ją strachem. U wylotu zaułka stało dwóch chłopaków. Obaj barczyści i krótko ostrzyżeni. Kiedy podeszli bliżej, zrozumiała, że nie czeka jej nic dobrego. Młodszy z nich miał nie więcej niż dwanaście lub trzynaście lat, starszy był w wieku jej brata. Zapewne szesnastolatek.

- Tylko nie próbuj wrzeszczeć - warknął starszy.

Miała tak zaciśnięte gardło, że nie mogłaby krzyczeć, nawet gdyby chciała.

- Odłóż plecak i wyskakuj z kurtki - zakomenderował młodszy.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie włązi w ciemny zaułek. Przynajmniej nie na Manhattanie. Jack DeRosa z ponurym wyrazem twarzy spoglądał za dziewczyną znikającą w wąskiej przecznicy. W takich miejscach dzieją się złe rzeczy. Zimny pot oblał mu czoło na wspomnienie pewnej okropnej nocy. Nie ma powodu o tym myśleć... Już lepiej się zająć dziewczyną. Co by się stało, gdybym tak nie przystanął i nie popatrzył za nią? - dumiał Jack. Skąd mi to przyszło do głowy? Przecież w granie rzeczy

nie była najładniejsza. Miała dość krótkie włosy, ale jej oczy... Urzekające, czyste, niebieskie i głębokie. Na ich widok ciarki przebiegły mu po plecach.

Po co włąziła w tę uliczkę? Jack zmarszczył brwi i odruchowo przyspieszył kroku. Z jej zachowania wnosił, że zrobiła to celowo. Chciała się z kimś spotkać? W zaułkach Nowego Jorku załatwiano wiele nielegalnych i pokątnych sprawek.

Ledwo dotarł do rogu, zobaczył trzy postacie w pobliżu ceglanej ściany. Lata pracy w policji zmusiły go do działania. Odruchowo przywarł do muru i sięgnął ręką do pasa po pistolet. Lecz dłoń zawisła w próżni. Przypomniawszy sobie, że przecież nie ma broni. Nie pełnił służby, bo był na zwolnieniu lekarskim. Dał krok naprzód, nie zwracając uwagi na coraz ostrzejsze klucie w biodrze. Rzutem oka ocenił sytuację. Dwóch małych z jakiegoś młodzieżowego gangu. Na pewno obaj uzbrojeni. Nie w pistolety, bo już dawno by je wyciągnęli, ale w noże. Ich dwóch, ona jedna. Mógł liczyć tylko na element zaskoczenia.

Powoli przesuwając się wzdłuż muru. Młodszy chłopak chwycił za pasek plecaka. Dziewczyna szarpnęła plecak z powrotem. Jack odskoczył od ściany i puścił się biegiem. Biodro rwało go coraz bardziej przy każdym następnym kroku.

- Dwóch na jedną? - zapytał, przystając. - To nie fair.

Starszy chłopak odwrócił się błyskawicznie. Jack zauważył nóż w jego dłoni. W tej samej chwili świat zawirował mu przed oczami. Zaułek stał się ciemniejszy, smród śmieci bardziej dotkliwy... Powróciły wspomnienia. Strach zmroził mu krew w żyłach i spowolnił ruchy. Niemal cudem uniknął pierwszego ciosu nożem. Drugie cięcie rozdarło mu rękaw marynarki. Zrobił unik w prawo i poczuł, że lewa noga mocno się pod nim ugięła. Szybko przerzucił ciężar ciała na prawą, zdrową nogę, a mimo to miał

wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Ostrze noża z zabójczą precyzją zmierzało w stronę jego brzucha... W ostatniej chwili usłyszał przenikliwy krzyk - krzyk strachu i bólu - i obudził się z odrętwienia.

Skoczył w lewo, odwrócił się na pięcie i z całej siły uderzył chłopaka w szyję. Tamten jak podcięty przewrócił się na ziemię. Jack sięgnął po kajdanki. Niestety, też ich nie miał.

Znowu krzyk. Dziewczyna stała plecami do ściany i w wyciągniętych rękach trzymała pistolet. Chłopak przyciskał ręce do oczu i cofał się po omacku. Dziewczyna minęła go i podbiegła do Jacka. Wycelowała broń w dźwigającego się na kolana drugiego z napastników.

- Liczę do trzech i już was tu nie ma! Raz... dwa...

Chłopak zerwał się i umknął co sił w nogach. Drugi został na miejscu i wył rozpaczliwie. Dziewczyna podeszła do niego.

- To tylko ocet - powiedziała. - Najlepiej przemyj oczy, to przestanie cię szczypać.

Jack oniemiał. Przez chwilę gapił się na nią w osłupieniu. Ocet?!

- Mam chusteczki w plecaku - dodała.

- Chusteczki? - Jack złapał chłopaka za rękę i wykręcił mu ją na plecy.

- Co ty wyprawiasz? - zaprotestowała dziewczyna.

- Zabieram go na posterunek. To tylko dwie przecznice stąd.

- Nie. Puść go.

Jack uważnie spojrział na pistolet. Z tej odległości widział, że to tylko sikawka, ale nie miał ochoty dostać octem w oczy.

- Próbowali cię obrabować. Powinnaś złożyć skargę.

- Ani mi się śni. Zostaw go. Nie widzisz, że to tylko dzieciak?

Jack później zachodził w głowę, co spowodowało, że uległ jej prośbie. Może sprawiło to spojrzenie jej niezwykłych niebieskich oczu? A może coś

szczególnego w całym jej zachowaniu? A może rozpacz chłopaka, który spoglądał na nich zażalonym i wystraszonego wzrokiem.

- Masz kupę szczęścia, draniu - mruknął Jack, puszczając jego rękę.

Wyrostek jak oparzony pognął w ślad za kumplem.

- Dziękuję - powiedziała Riley.

- Jeśli już chcesz mi podziękować, to podziękuj raczej za to. - Jack zręcznym ruchem wyłuskał pistolet z jej dłoni i schował go do kieszeni.

- Hola! Nie będę miała czym się bronić! - zaprotestowała gorąco.

- Ten pistolet wcale nie służy do obrony. To zabawka dająca fałszywe poczucie bezpieczeństwa. - Wziął dziewczynę za ramię i pociągnął w stronę wylotu zaułka.

- Tak? Lecz ta „zabawka”, jak ją nazywasz, wybawiła nas z niezłej opresji.

- Po prostu miałaś szczęście... - Zachwiał się lekko i zaklął pod nosem.

- Jesteś ranny? Dziabnął cię nożem w nogę?

- Nie. To stare dzieje. - Sam nie wiedział, jak to się stało, że poczuł jej dłoń w swoim ręku. Miała mocny i chłodny uścisk. Ciekawa rzecz, że wcale go to nie zdziwiło.

- Potrzebujesz lekarza? Może wezwiemy pogotowie?

- Nie. - Zły na siebie, gwałtownie cofnął rękę i pokuśtykał w kierunku ulicy. Dość miał lekarzy i szpitali. Z nasilenia bólu wywnioskował, że jeszcze przez najbliższe dni przyjdzie mu utykać. Diabli nadali...

- Nie powinieneś łązić po zaułkach, póki zupełnie nie wydobrzejesz - zauważyła Riley.

- Nie powinienem? Przecież poszedłem tam za tobą!

- Po co? To niebezpieczne. A teraz bądź tak łaskaw i oddaj mi pistolet.

Jack tępo popatrzył na jej wyciągniętą rękę. Potem zerknął w jej niebieskie oczy. I to był najgorszy błąd.

- Posłuchaj mnie... - westchnął ciężko. - Zaraz ci powiem, co zrobię. Zostawię tę zabawkę w depozycie u sierżanta na najbliższym posterunku policji. Odzyskasz swoją własność, kiedy przyniesiesz zaświadczenie, że skończyłaś kurs samoobrony.

- Samoobrony?! Nie mam czasu...

- To znajdź. - Obrzucił ją najgroźniejszym policyjnym spojrzeniem. - W przeciwnym razie każda następna włóczęga po zaułkach może okazać się ostatnią.

Spacer na posterunek trwał o wiele dłużej, niż Jack się spodziewał. Wciąż utykał i biodro bolało go jak diabli. Dyszał ciężko przy każdym kroku. Fizykoterapeuta zalecił mu serię ćwiczeń dwa razy w tygodniu dla wzmocnienia mięśni. Noga powinna być już dawno zdrowa. Jack przystanął i rozmasował obolałe biodro. Nie chciałbym, żeby Duffy cokolwiek zauważył, pomyślał. Ale na pewno się przyczepi...

Jack zatrzymał się przed drzwiami pokoju na pierwszym piętrze i wziął głęboki oddech. Musiał jakoś przekonać szefa, że może już wrócić do pracy. Oszalałby, gdyby przez kolejny miesiąc miał siedzieć w domu. Zamknął oczy i zaczerpnął tchu. Nie chciał już myśleć o tamtej wariatce. Jak tylko weszli na posterunek, zostawił ją z sierżantem. Kazał jej przejrzeć wszystkie broszury o kursach samoobrony.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach przypalanej kawy, starych kanapek i dymu z papierosów. Nareszcie w domu, pomyślał, przeciskając się ciasno stojącymi biurkami. Kilka z nich było pustych, lecz na jego miejscu ktoś siedział, Co gorsza - ktoś, kogo Jack nie znał.

- DeRosa!

Jack jęknął w duchu. Odwrócił się i zobaczył szczupłą brunetkę w starannie skrojonym brązowym kostiumie. Gdyby wierzyć raportom, Alexandra Markham była jedną z najlepszych policjantek w mieście. On jednak wcale nie pochwalał jej metod. Myślała tylko o własnej karierze

I „po trupach” zmierzała do celu. Błysnęła zębami w olśniewającym uśmiechu.

- Duffy był tutaj jakieś dziesięć minut temu - powiedziała ściszym głosem. - Nie wyglądał na zachwyconego, kiedy dowiedział się, że cię jeszcze nie ma.

Jack głośno przełknął ślinę. Szef należał do tych uparciuchów, którzy cenili punktualność na równi z inteligencją. A niech to...

- Kogo posadził mi za biurkiem? - spytał, żeby zmienić temat.

Oboje weszli w głąb korytarza wiodącego do biura kapitana.

- To tylko tymczasowy przydział. Nazywa się Carmichael. Przyszedł do nas na miesiąc, chyba że nieco dłużej zostaniesz na zwolnieniu.

- Myślałem, że może Duffy już dziś przywróci mnie do służby.

Popatrzyła na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

- A jak twoja noga?

- Prawie dobrze. - Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie ta przekłeta przygoda w zaułku, dodał w duchu. I pewnie bym się nie spóźnił.

- Nie powinienes jej forsować, Jack - powiedziała Alexandra z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Markham!

Odwrócili się jak na komendę. Carmichael odłożył właśnie słuchawkę telefonu i uniósł się zza biurka Jacka.

- Dzwonił facet z lombardu, w którym byliśmy wczoraj. Chce nam coś pokazać.

Alex zerknęła na Jacka.

- Wiem, że nie lubisz żadnych porad, ale moim zdaniem, nie powinieneś wracać, póki nie będziesz zdrowy na sto procent. - Uśmiechnęła się. - No, muszę lecieć. Nie bój się kapitana.

Jack odprowadził ją wzrokiem, zadowolony, że nie czekała na odpowiedź. Nie chciał się przyznać, nawet przed samym sobą, do obaw, że już nigdy nie będzie zdrowy na sto procent. Trzasnęły otwierane drzwi.

- DeRosa! - warknął Duffy.

Jack odwrócił się i ostrożnie wszedł do biura. Duffy wskazał mu krzesło, zamknął drzwi i sam przysiadł na skraju biurka.

- Spóźniłeś się i wciąż kulejesz - stwierdził sucho.

- W obu przypadkach przyznaję się do winy - odparł Jack. Nie było najmniejszego sensu szukać usprawiedliwienia.

- No i co? - burknął Duffy. Postukał palcem w zegarek. - Zarezerwowałem dla ciebie cały kwadrans. Zostało ci z tego pięć minut.

- Chcę wrócić do służby.

Duffy parsknął pod nosem.

- Rozmawiałem z twoimi lekarzami. Fizycznie niby jesteś w porządku, ale psycholog ma poważne zastrzeżenia co do twojego stanu.

Tego można było się spodziewać. Zdaniem psychologa, ciągłe ataki bólu należało przypisać urojeniom. Poczuciu winy za śmierć młodego policjanta... Jack uważał, że właśnie praca pozwoliłaby mu przyjść do siebie. Jak tu jednak przekonać doktorów i kapitana?

- Jeśli choć jeden dzień dłużej przyjdzie mi siedzieć w domu... - urwał. Niedopowiedziana reszta zdania ciężko zawisła w powietrzu.

Duffy bezradnie rozłożył ręce.

- Nic nie poradzę, dopóki nie wystawią ci lepszej opinii. Chociaż...

- Co takiego?

- Mamy tu pewną delikatną sprawę. Oficjalnie nie mogę do niej nikogo przydzielić, bo brak mi odpowiednich ludzi.

Jack popatrzył na niego spod oka. Kapitan siedział z ponurym wyrazem twarzy. Jack przeczuwał pułapkę. Wreszcie nie wytrzymał napięcia, westchnął i przerwał nieznośną ciszę.

- Tajna robota? - spytał.

- Coś w tym rodzaju. Poza tobą wtajemniczeni są tylko Markham i Carmichael. Tworzycie zespół.

A zatem wszystko już postanowione. W głowie Jacka zabręczał dzwonek alarmowy.

- Chwileczkę... Na czym polega to zadanie?

Duffy wstał, przeszedł na drugą stronę biurka i wziął do ręki papierową teczkę.

- Tutaj są kopie wszystkich dokumentów. W ostatnim miesiącu doszło do serii kradzieży w apartamentach przy Central Parku. Ginęła głównie biżuteria. Coś, co leżało na wierzchu. Nikt nie próbował włamywać się do sejfów.

- Amatorszczyzna - mruknął Jack.

- To samo myślą Markham i Carmichael. Pierwsze trzy przypadki miały miejsce w tym samym budynku. Wszystkie trzy poszkodowane damy należą do tego samego kółka brydżowego. Spotykały się w czwartki po południu. Podejrzewaliśmy, że to któraś z nich. Potem jednak przyszła wiadomość, że kolejnej kradzieży dokonano w budynku odległym o dziesięć przecznic. Wspomniane damy są po siedemdziesiątce, wątpliwe zatem, by

były zdolne do takich spacerów. W zeszłym tygodniu znaleźliśmy nowy punkt zaczepienia. Wszystkie ofiary korzystały z „usług dla zwierząt”, Foster Care, prowadzonych przez niejaką Riley Foster, do spółki ze stryjem i nieletnim bratem. Każde z nich ma klucze do mieszkań klientek. I to na razie tyle.

Jack popatrzył na teczkę w rękach kapitana.

- Na czym polega moja rola? Przecież wszystko wskazuje na to, że znalazł pan już złodziei.

Duffy obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Nie złapaliśmy pani Foster na gorącym uczynku ani nie znaleźliśmy u niej skradzionych przedmiotów. Nie mogliśmy nawet uzyskać nakazu rewizji, bo jej klientki twierdzą, że to na pewno nie ona. Wczoraj odebrałem telefon od komisarza, którego matka chrzestna też została okradzona. To jedna z pań z kółka brydżowego. Powiedziała mu, że, cytuję: „nie wolno nam nachodzić tej sympatycznej dziewczyny od zwierząt”.

Obciął koniec cygara i bez ogródek wyznał, co naprawdę myśli o wszystkich komisarzach i ekscentrycznych staruszkach współczesnego świata.

- Co mam konkretnie zrobić? - spytał Jack.

- Będiesz naszą wtyczką. Dostaniesz pracę w Foster Care. A kiedy już zdobędziesz wyraźne dowody, to aresztujesz winowajcę.

- A jeśli nie zdobędę? - zapytał. Duffy zdusił cygaro w popielniczce.

- Zdobędziesz. Nie chcę stale mieć komisarza na karku. Potrzebuję swobody, zwłaszcza przy innych sprawach. Markham i Carmichael są święcie przekonani, że winna jest Riley Foster. Ty masz to tylko potwierdzić. Byłoby dobrze, gdybyś ją przyłapał z jakimś świecidełkiem w ręku. Jeśli nie, to chociaż znajdź coś w jej rzeczach lub mieszkaniu. Wtedy

kochana chrzestna komisarza poszuka sobie innej niańki do ulubionych piesków!

- Jak to się skończy, chcę natychmiast wrócić do normalnej służby.

Kapitan zmrużył oczy.

- Targujesz się?

W tej samej chwili rozległ się terkot telefonu.

- Słucham - burknął do słuchawki. Milczał przez kilka sekund, a później popatrzył na Jacka. - Tak, panie komisarzu. Wszystko idzie zgodnie z planem. Powierzyłem tę sprawę jednemu z naszych najlepszych ludzi.

Rzucił słuchawkę na widełki.

- Zabieraj teczkę i bierz się do roboty. Za chwilę przyjdę do ciebie.

Jack zamknął za sobą drzwi, ciężko osunął się na krzesło i szybko przekartkował akta Foster Care. Sprawa nie wyglądała na zbyt skomplikowaną. Bułka z masłem. Wystarczyło przejrzeć raporty Alexandry Markham, by nabrać przekonania, że za wszystkimi kradzieżami krył się ktoś z firmy panny Foster. Dwadzieścia trzy lata, absolwentka renomowanego college'u dla dziewcząt... Czyli na pewno jakaś rozpieszczona księżniczka z Park Avenue, pomyślał. Matka zmarła, kiedy dziewczynka miała dwanaście lat. Dziewięć miesięcy temu, po śmierci ojca w katastrofie samolotowej, Riley została praktycznie bez centa.

Dane zebrane przez Alexandrę jak zwykle były bardzo dokładne. Znalazła się w nich nawet wzmianka, że wypadek mógł być w istocie samobójstwem. Fostera oskarżano bowiem o defraudację niemałej kwoty z funduszu powierniczego. Tuż po pogrzebie panna Riley przeniosła się do stryja, który mógł jej zapewnić godne warunki bytowania. Po trzech miesiącach podjęła „usługi dla zwierząt”, kierując swą ofertę do bogaczy.

Klienci wręcz ją uwielbiali i polecali swoim znajomym. Wszyscy wierzyli w jej niewinność.

Jack zamknął teczkę. Ciekawe... Foster Care mogło stanowić znakomitą przykrywkę dla sprytnych złodziei. Szefową bandy prawdopodobnie była panna Riley, choć stryj i brat też się znaleźli w kręgu podejrzanych. Brat zastępował ją po szkole i w czasie weekendów. Stryj, zapomniany aktor na emeryturze, brał na siebie część pozostałych obowiązków. Trzy, cztery dni i wpadną w moje ręce, pomyślał Jack.

Odchylił się na krzesło i zamknął oczy. Dobiegający z za drzwi głos kapitana brzmiał jakby odrobinę ciszej. Ból w nodze także zelżał. Jacka ogarnęło ogromne znużenie. Ale to minie, pocieszył się w duchu.

Riley uśmiechnęła się przepaszająco swoim najpiękniejszym uśmiechem, chwyciła kotkę za kark i wpackowała z powrotem do plecaka. Młody sierżant po drugiej stronie biurka zamarł z ręką na kolbie pistoletu. Odruchowo sięgnął po broń, kiedy kociak zniecacka wskoczył mu na papiery.

- Przykro mi. Łatwo się denerwuje...

- No tak... - bąknął sierżant, wyraźnie zakłopotany, że o mały włos nie wycelował w kota.

- Dziękuję panu za wszystkie ulotki i foldery dotyczące samoobrony - szybko dodała Riley. - A przy okazji, gdzie jest biuro kapitana Duffy'ego? Miałam się dzisiaj z nim spotkać i już jestem spóźniona.

- Proszę na górę, po schodach w końcu korytarza - odparł sierżant. - Ale...

- Słucham?

- Nie wiem, czy powinna pani zabierać ze sobą kota. Kapitan... bardzo dba o swoje rzeczy.

- Rozumiem. Dziękuję - odpowiedziała Riley i poszła w stronę schodów.

Najważniejsza jest szczerść. To zawsze powtarzał jej ojciec, kiedy dorastała. Ale sam nigdy nie był całkiem szczerzy. Przegrał w kasynie oszczędności ludzi, którzy przez lata darzyli go szacunkiem i zaufaniem. Zdaniem policji, niedaleko pada jabłko od jabłoni...

Na piętrze rozejrzała się po zatłoczonej sali. Nie zobaczyła policjantki, która ją raz przesłuchiwała. Z wolna podeszła do szklanych drzwi z napisem „Kapitan Duffy”.

Nagle spostrzegła znajomą twarz. Był to ten sam mężczyzna, który w zaułku pośpieszył jej na pomoc. Na jego widok wpadł jej do głowy znakomity pomysł.

Obudziło go głośne miauczenie. Jack otworzył oczy i zobaczył przed sobą rewolwerowca w spódnicy, strzelającego octem.

- Przepraszam, że ci przerwałam drzemkę - powiedziała dziewczyna.

- Wcale nie spałem. Pozwalałem tylko odpocząć oczom.

- Bez wątpienia. Jeśli mi wyświadcysz drobną przysługę, to przyrzekam, że nikomu o tym nie powiem. Mam spotkanie z kapitanem. Możesz przez kilka minut popilnować Abry?

- Abry? - Jack ze zdumieniem spojrział na niewielkie zwierzę kręcące się w plecaku. Szczur, pomyślał w pierwszej chwili.

- To skrót od „abrakadabra” - wyjaśniła Riley. - Wyskakuje z plecaka jak królik z kapelusza w najmniej odpowiednich momentach. Sierżant tak się przestraszył, że chwycił za pistolet. Nie chciałabym, żeby kapitan Duffy miał podobną przygodę.

Jack sam nie wiedział, jak to się właściwie stało, że w trakcie rozmowy kotka znalazła się w jego rękach. Poczuł na swojej dłoni delikatny dotyk kociego języka.

- Trzymaj ją blisko siebie. Najlepiej pod marynarką. Dachówce są bardzo nerwowe. Nie mam pojęcia, jak długo siedziała w tym zaułku, zanim ją znalazłam.

- Poszłaś tam... ze względu na to zwierzę? - z niedowierzaniem zapytał Jack. Riley tymczasem upychała mu kotkę za pazuchą.

- To jest kotka - wyjaśniła Riley. - Stoczyła ciężką walkę i wpada w panikę, słysząc najdrobniejszy hałas. Jeśli ucieknie, to w takim miejscu można jej bardzo długo szukać. Sierżant uprzedzał mnie, że kapitan Duffy nie będzie tym zachwycony.

- Ach tak? - warknął gniewny głos tuż za jej plecami.

Kotka jak oparzona wyrwała się z rąk Jacka, śmignęła między nogami Duffy'ego i wpadła do jego biura. Riley pobiegła za nią. Jack zerwał się z miejsca i, niewiele myśląc, wepchnął kapitana w ślad za uciekinierką, sam też wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Kotka, miaucząc zawzięcie, skuliła się w kącie. Riley pomału zbliżała się do niej, mówiąc coś cichym i łagodnym głosem. Już wyciągała rękę, ale kotka prychnęła nagle i umknęła. Jack rzucił się na kolana i niemal zawył z bólu. Nie złapał kotki. Zwierzak wskoczył na biurko kapitana i strącił stertę papierów.

- Szlag by to trafił! - krzyknął Duffy.

Kotka schowała się za biurkiem.

- Ciszej, proszę - powiedziała Riley tym samym łagodnym tonem, którym wcześniej przemawiała do zwierzęcia. - Przecież pan chyba widzi, że jest okropnie wystraszona.

- W to nie wątpię. Przed chwilą rozwalila całą moją dzisiejszą robotę!

- Ciiicho... - uspokajała go Riley. - Pańskie wrzaski tylko pogorszą sytuację.

Na czworakach przesunęła się w stronę Jacka.

- Ty idź naokoło biurka, a ja spróbuję przejść pod spodem. Tylko nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Zrozumiałeś?

Jack czuł się jak idiota, ale posłusznie spełnił jej prośbę, nie zwracając uwagi na łupanie w biodrze. Miał dłuższą drogę i poruszał się dużo wolniej, więc trochę czasu minęło, zanim zobaczył kotkę. Riley dotarła do niej pierwsza i powtórzyła sztuczkę z karmą. Mądra dziewczyna. Zachowywała się tak samo, jak zachowałby się policjant wobec wystraszonego przestępcy, wymachującego bronią. W ostatniej chwili zwierzak znów zamierzał uciec, lecz tym razem Jack był na to przygotowany. Złapał kotkę w pół skoku i wsunął za pazuchę.

- Znakomicie - z uśmiechem pochwaliła go Riley i wypełzła spod biurka.

- I jak tam, DeRosa? - z przekąsem zapytał kapitan Duffy. - Opanowałeś sytuację?

- Tak jest - służbiście odpowiedział Jack. Zgiął nogę, żeby wstać, i skrzywił się nieznacznie. Riley ujęła go pod ramię.

- Wesprzyj się na mnie - mruknęła.

- Dam sobie radę - burknął obcesowo.

- Jesteś tego zupełnie pewny? - zapytał Duffy.

- Przecież zawarliśmy umowę - przypomniał mu Jack.

Kapitan skinął głową i zerknął na dziewczynę.

- Podejrzewam, że już się znacie.

- Nie - odpowiedzieli zgodnym chórem.

- Panna Riley Foster, inspektor DeRosa - cynicznie wycodził Duffy.

- Foster?

- Inspektor?

- Dopóki nie ustalimy prawdziwych sprawców kradzieży, zatrudni pani DeRosę jako nowego opiekuna do zwierząt - oznajmił Duffy. - Od tej pory będziecie nierozłączną parą.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Riley z przerażeniem spojrzała na Duffy'ego.

- Niby dlaczego? - zawołała.

- Bo jest pani naszą główną podejrzaną - cierpliwie wyjaśnił kapitan.

W jego słowach dało się wyczuć drobny cień satysfakcji.

- Podejrzaną? - Riley była bliska paniki.

- Miała pani doskonały motyw, środki i możliwości, aby dokonać wszystkich znanych nam kradzieży w mieszkaniach pani klientek - odparł Duffy. - Zgodnie z raportem inspektor Markham, zamierza pani otworzyć tak zwany hotel dla zwierząt, ale brak pani odpowiednich środków na adaptację wnętrza. To jest motyw. Zyskała pani stały dostęp do mieszkań kilku bogatych osób. To są środki i możliwości. Nie mogę jednak pani aresztować, bo jak do tej pory w pani rękach nie widziano żadnej ze skradzionych rzeczy.

Riley zacisnęła ręce na plecaku.

- Niczego nie ukradłam!

- Może to pani udowodnić poprzez współpracę z nami. Proszę zatrudnić inspektora DeRose.

DeRosa wprawdzie kulał na jedną nogę, lecz bez wątpienia był mądrzejszy od wszystkich policjantów, którzy ostatnio ją przesłuchiwali. Nie brakowało mu przenikliwości. Nie chciała, żeby kręcił się koło niej, póki sama nie wyjaśni sprawy broszki.

- Nie. To pogwałcenie moich praw obywatelskich. Duffy pochylił się w jej stronę.

- Z początku uważałem panią za niewinną. Winnie Cantrell była o tym dogłębnie przekonana, więc zatelefonowała do swojego chrześniaka, komisarza policji w tutejszym okręgu, i powiedziała mu, że panią nagabuję. Teraz szef patrzy mi na ręce, a ja mam tego już serdecznie dosyć. Znalazłem zatem człowieka, który zajmie się dochodzeniem. Prawda, DeRosa?

- Prawda - przytaknął Jack.

- A jeśli odmówię?

- To zadzwonię po Markham i Carmichaela. Każę im panią obserwować. Popytają wśród pani klientów, nawet wśród tych, którym jeszcze nic nie zginęło. W lot gruchnie plotka, że ma pani do czynienia z policją.

Riley głośno przełknęła ślinę. Nie podobała jej się ta perspektywa.

- A jeśli się zgodzę?

- Markham i Carmichael dostaną inny przydział. Klientom damy też na razie spokój, do czasu następnej kradzieży. W zamian za to zapewni pani ochronę DeRosie. Jak dobrze pójdzie, to za tydzień sprawca znajdzie się pod kluczem.

- Co to znaczy „ochronę”?

- Zatrudni go pani jako pomocnika i wynajmie mu jeden z pokoi.

- Co takiego? A jak się wytłumaczę przed stryjem?

- Powiesz mu, że niedawno przyjechałem do miasta i nie miałem czasu się urządzić - zaproponował Jack.

- O, właśnie! - Duffy z wdzięcznością skinął głową i znów spojrzał na Riley.

- Wcale nie muszę tego robić - odparła.

- Nie - warknął kapitan. - Ale kradzieże miały miejsce u pani klientów.

Nie lepiej z tym szybko skończyć, panno Riley?

- No dobrze... Zgoda, ale stawiam pewien warunek. Duffy poczerwieniał i zmrużył powieki.

- Nie przywykłem do kompromisów, młoda damo.

- Nie chcę, żeby mój stryj i brat cokolwiek o tym wiedzieli. I tak mają wystarczająco wiele własnych zmartwień. Dlatego...

- Proszę posłuchać. - Duffy był już czerwony jak burak i mówił podniesionym głosem. - Nikt oprócz pani nawet nie może wiedzieć, że Jack DeRosa jest gliniarzem! Ma działać incognito! Zrozumiano?

- Tak. Owszem. Wszystko jasne. - Riley pospiesznie odsunęła się od biurka i spod oka zerknęła na Jacka. -Zgadzam się... - Znowu spojrzała na Duffy'ego. - Tydzień, powiada pan? Dobrze, niech będzie tydzień.

- Podejrzewam, że nawet krócej - wtrącił Jack, by załagodzić sytuację. - Mogę zacząć już dzisiaj?

- To właśnie chciałem zaproponować - burknął kapitan Duffy.

- Mogę przez chwilę skorzystać z pańskiego biura? - zapytał Jack. - Chciałem omówić kilka szczegółów z panną Foster.

- Macie pięć minut - odparł Duffy i podszedł do drzwi. Przystanął w progu. - Pięć minut - powtórzył. -Potem nie chcę was widzieć. Ani was, ani tego... czegoś, co chowasz pod marynarką, DeRosa. Zrozumiano?

- Zrozumiano - powiedział Jack.

Kapitan Duffy wyszedł, trzaskając drzwiami. Riley westchnęła głośno. Potem z ukosa popatrzyła na DeRose. Umiała postępować z ludźmi, chociaż o wiele lepiej radziła sobie ze zwierzętami. Na Jacka też na pewno znajdzie jakiś sposób. Wyglądał groźnie, niczym rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Te jego oczy... Bystre, przenikliwe i świdrujące. Riley chrząknęła. Szybko musiała coś powiedzieć.

- Często miewasz podobne sprawy?

- Nie.

Przypatrywała mu się przez minutę.

- Nie jesteś zbyt rozmowny.

- Nie.

- Papuga mojego stryja więcej gada od ciebie.

- Serio?

- Owszem.

Umilkła. Postanowiła podjąć to wyzwanie, chociaż cisza dłużyła jej się w nieskończoność. Za niecałe cztery minuty trzasną drzwi i do pokoju wejdzie naburmuszony kapitan Duffy. Liczyła w duchu upływające sekundy. Zerknęła na kotkę i zobaczyła ze zdziwieniem, że Abra leży wygodnie na wielkiej dłoni Jacka. DeRosa delikatnie głaskał ją drugą ręką. Do ilu ludzi strzelał w swoim życiu? Przecież był policjantem. Musiała się przy nim pilnować. A jednak... Kiedy tak patrzyła, jak czule gładzi kotkę, dziwny dreszcz przeszył jej ciało.

Napotkała jego spojrzenie. Błąd. Przejrzał ją już na wylot? Nie. Przecież to niemożliwe.

- Wygrałaś - odezwał się Jack.

Riley gwałtownie zamrugła powiekami. Miała wrażenie, że jego słowa wyrwały ją z niewidzialnego czaru.

- Co takiego?

- Zaczę pierwszy. Trzeba omówić parę szczegółów, zanim wróci kapitan Duffy.

- Szczegółów - powtórzyła i oblizła usta. Nawet nie wiedziała, że są tak bardzo suche. - Masz rację. Wiesz co? Możesz spokojnie z tego zrezygnować. Znaczący... z zadania. Jak chcesz być moim pomocnikiem,

skoro nic nie wiesz o zwierzętach? To trudna praca, wymagająca wiele poświęcenia. Nie bierz mi tego za złe, ale w twoim stanie raczej...

Umilkła, bo w tej chwili Jack przestał się uśmiechać. Wstał. Riley cofnęła się pół kroku. Zdawało jej się, że ktoś zgasił światło. Po chwili spostrzegła, że to barczysta postać Jacka zasłania całe okno.

- Dobrze wiesz, że oboje nie mamy wyboru - mruknął. - Im szybciej dojdziemy do porozumienia, tym lepiej.

W uszach dziewczyny zabrzmiał metaliczny szczęk zamykanej bramy więzienia. Od razu byłoby po sprawie, gdyby Jack zajrzał do plecaka i znalazł tam brylantową broszkę. Nie, lepiej myśleć o czymś innym. Nie wolno dać się zastraszyć. Do tej pory dobrze umiała postępować z różnymi facetami - nawet uzbrojonymi w noże.

- Skąd jesteś? - zapytała.

- Mieszkam w West Side.

- Źle. W West Side mieszka inspektor DeRosa. Mój, hm... pomocnik niedawno przyjechał do Nowego Jorku. Zatem skąd jesteś?

Jack z uznaniem pokiwał głową.

- Celny strzał, panno Foster. Z Kalifornii.

- Riley. Wszyscy do mnie tak mówią. Masz rodzinę? Zawód?

- Stan cywilny: kawaler. Imałem się różnych zajęć. W swoim życiu już byłem robotnikiem i kucharzem.

Riley przekrzywiła głowę i przypatrywała mu się przez chwilę.

- Naprawdę umiesz gotować?

Zmrużył oczy.

- Naprawdę. A co w tym dziwnego? Błyskawicznie podjęła decyzję. Skoro miała już gościć u siebie policjanta, postanowiła w stu procentach wykorzystać jego obecność.

- Brat, stryj i ja na zmianę pełnimy dyżury w kuchni. Jeśli masz zamiar u nas mieszkać, musisz się podporządkować przyjętym zasadom. Potraktuj to jako część policyjnego kamuflażu.

Spojrzał na nią spod oka.

- Nie ma sprawy.

- Świetnie. A co z twoim nazwiskiem? Jak się będziesz przedstawiał?

- Tak jak dotąd. Nie potrzeba niczego zmieniać. Jack DeRosa.

- Bardzo mi miło, Jack. - Riley uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Spostrzegła z cichą satysfakcją, że zawahał się na moment. To znak, że odzyskała panowanie nad sytuacją. Jack wreszcie potrząsnął jej dłonią. Tak jak się spodziewała, miał mocny uścisk.

- Mamy napięty plan na popołudnie - powiedziała. - Resztę spraw omówimy po drodze.

- A co z tym? - spytał, unosząc kotkę, wciąż uczeponą jego dłoni.

Riley zmarszczyła czoło.

- Powinnam ją zabrać do domu.

- Świetnie. - Jack podał jej zwierzę. - Przedtem wpadniemy do mnie, żeby wziąć zabrać parę rzeczy.

Chciała wziąć Abreę, lecz kotka syknęła gniewnie i przywarła do rękawa Jacka.

- Chyba już jesteś na nią skazany - zauważyła Riley. Jack zrobił nadąsaną minę.

- Mogę gotować, ale nie będę niańczył kotów.

- Jako mój pracownik, przydasz się nie tylko kotom.

- Nie będę niańczył kotów - powtórzył Jack, patrząc na Abreę leżącą na jego łóżku.

Nawet nie otworzyła ślepek na znak, że go usłyszała. Udawała śpiącą, tak samo jak w taksówce. Gdyby jednak zechciał ją oddać w ręce Riley, od razu by się obudziła i zaczęła wić się i prychać. Próbował tego już trzy razy.

Riley była wyraźnie rozbawiona. Jack nie podzielał jej wesołości. Poradziła mu, żeby z wolna zaczął się przyzwyczajać do zakochanej kotki.

Abra przeciągnęła się lekko, westchnęła i wygodniej zapadła w poduszki.

- Źle wybrałaś - powiedział do niej Jack. Popatrzył na nią ze skupieniem. Widział bezdomnych w lepszym stanie niż to kocię. Nie zatraciła jednak walecznego ducha. Za to po cichu ją podziwiał.

Podziwiał także Riley Foster... A to stwarzało pewien problem. Duży problem.

Odwrócił się, wyjął z szuflady bieliznę i skarpetki i włożył je do walizki. Pakował się systematycznie, starannie przepatrując szafę, a mimo to myślał o czymś innym. Od dawna już miał taki zwyczaj. Nieraz całkiem niegłupi pomysł wpadał mu do głowy podczas zwykłych, codziennych czynności. Bywało nawet, że w ten sposób znajdował rozwiązanie jakiejś trudnej sprawy. A co teraz? Panna Riley nie wyglądała na złodziejkę...

Lata policyjnej służby nauczyły go, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Rzadko się mylił, oceniając ludzi. Riley miała w sobie coś nieodparcie niewinnego. Coś, co czaiło się w jej oczach i całym zachowaniu.

Wszedł do łazienki, otworzył kosmetyczkę i włożył do niej przybory do golenia. Musiał przyznać przed samym sobą, że Riley mu się podoba. Wiedział o tym już w tej sekundzie, kiedy wpadł na nią na ulicy. Długo potem wciąż czuł jej dotyk i delikatny zapach ciała. Miał ochotę popędzić za nią i ponownie pochwycić ją w ramiona.

Bardzo ciekawe. Coś nowego. Wydarzenie wręcz bez precedensu. Kim ona była, że na jej widok zachowywał się w taki sposób? W tłumie pań nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Zazwyczaj wołał bardziej zadbane i ładniejsze kobiety. Riley Foster nie przejmowała się swoim wyglądem. Nie malowała się i chyba sama strzygła sobie włosy tępymi nożyczkami. Nie używała żadnych perfum. Przynajmniej on tego nie wyczuwał, choć w taksówce siedziała obok niego. Jej zapach... przypominał wiosnę. Tak, to chyba najlepsze określenie. Jack wrócił pamięcią do czasów dzieciństwa, do ciotki Rachel i do elfów, o których mu opowiadała. Właśnie. Riley Foster miała w sobie coś z elfa.

Bezwiednie zamknął kosmetyczkę i popatrzył w lustro. Biedna ciotka Rachel... Ją też zawiódł. W czasie rekonwalescencji wspominał ją coraz częściej. Nie były to miłe wspomnienia. Źle sypiał.

- Skoncentruj się na prowadzonym śledztwie - powiedział do faceta w lustrze. - Tu masz bilet do normalnego świata. „Riley Foster” to tylko nalepka na aktach. Łatwo sobie dasz radę z takimi kradzieżami. Musisz pozostać obiektywny i nie poddawać się uczuciom. Przecież to potrafisz.

Wrócił do sypialni i włożył kosmetyczkę do prawie pełnej walizki. Pozostał tylko pistolet. Wyjął go z szuflady, rzucił na stos ubrań i zamknął walizkę.

Kotka natychmiast otworzyła oczy, wstała i zbliżyła się do jego ręki.

- Komediantka - mruknął. Zabrał ją ze sobą i wyszedł z pokoju.

„Poznaj swojego wroga”. Riley nie była pewna, kto to powiedział. Pewnie Szekspir. Albo ktoś z Biblii. Każde mieszkanie na swój sposób coś mówi o człowieku. Niestety, to nie dotyczyło mieszkania Jacka DeRosy. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Riley postanowiła rozejrzeć się dokładniej. Najpierw meble: kanapa, fotel, dwa małe stoliki z lampkami,

telewizor. Żadnych półek z książkami, rozrzuconych czasopism ani nic w tym stylu. Pełna anonimowość, jak w podrzędnym motelu.

Przeszła na drugą stronę i dostrzegła odtwarzacz na szafce. Fotel zasłaniał jej widok. Przykucnęła i zobaczyła rząd płyt kompaktowych, równo stojących na półce. Była ich pewnie ponad setka. Jack DeRosa lubił muzykę poważną, jazz i bluesa. Czyli podzielał jej zainteresowania...

Poszła do kuchni, oddzielonej od reszty mieszkania wysoką ladą i dwoma stołkami. Dwoma, powtórzyła w myślach. Więc miewał gości? Może narzeczoną? Riley! - skarciła się. Wróc na ziemię! Co cię obchodzi, kogo Jack DeRosa przyjmuje w domu? Chyba powinnaś raczej uważać go za wroga. Spróbuj go lepiej poznać, dla własnego dobra. Energicznym krokiem podeszła do szafki i otworzyła drzwiczki. Zobaczyła kilka kompletów szklanek, kubków i talerzy. Sztućce były w szufladzie. Wszystko czyste, jakby należało do stałego wyposażenia mieszkania. Poza tym nieco zapasów: zupa w puszcze, tuńczyk, cukier i kawa. To wszystko. A gdzie cukierki? Wyprostowała się z westchnieniem. Zwiad się nie udał. Co wyczytać z takich rezultatów? Jak dotąd dowiedziała się, że Jack słucha dobrej muzyki i że pija prawdziwą kawę. Sherlock Holmes może wysnułby z tego odpowiednie wnioski. Ona była ciemna jak tabaka w rogu.

Wnętrze lodówki obiecywało więcej. „Jesteśmy tym, co jemy”. Tej mądrości nie mogła zwalić na Szekspira. To mówił Daryl, z którym przez dwa tygodnie chodziła za studenckich czasów. Co prawda miał niezłego hopla na punkcie zdrowej żywności, ale czasem udawało mu się powiedzieć coś niegłupiego. Riley oparła dłoń na drzwiach lodówki. Zastanawiała się przez chwilę, a potem zajrzała do środka.

Nic. Światło padło na puściusieńkie półki. W przypiływie nagłej desperacji szarpnęła drzwiczki zamrażalnika. Westchnęła z ulgą, widząc

napoczęte pudełko czekoladowych lodów. Zaraz jednak zmarszczyła brwi. Jak to? Jack DeRosa lubił te same lody co ona. Nawet z tej samej firmy. Z otępieniem wpatrywała się w lodówkę. Poznaj swojego wroga, aby się dowiedzieć, że jesteście do siebie podobni... No nie...

- Tam nie znajdziesz pieniędzy ani biżuterii. Drgnęła i obejrzała się przez ramię.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś.

- Zauważyłem. Może łaskawie mi wyjaśnisz, po co zaglądasz do zamrażalnika?

Przemawiał do niej cierpkim tonem, z poważną, wręcz posępną miną. A w jego oczach... Riley pospiesznie odwróciła głowę i z zakłopotaniem zamknęła wszystkie szafki i szuflady. Przycięła sobie palec i syknęła z bólu.

- Ja nie... - Nerwowo potrząsnęła ręką. - Nie...

- Obawiam się, że tak. Wiele osób chowa gotówkę do zamrażalnika. Wie o tym każdy doświadczony złodziej.

Riley zaczerwieniła się po same uszy. W podobnych chwilach zwykle liczyła do dziesięciu, by zapanować nad wzburzeniem. Ale nie teraz. Bez wahania podeszła do DeRosy i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie jestem złodziejką. Nie okradłam nikogo z moich klientów. - Miała ochotę stuknąć go palcem w pierś, ale trzymał pod pachą kotkę. - Nie zabrałam niczego z lodówki. Nawet nie spróbowałam moich ulubionych lodów. I... tyle!

- Czego tam szukałaś?

- Jakiejś wskazówki... Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o tobie.

- Wzruszyła ramionami. - Ale nic nie znalazłam.

- Zupełnie nic?

- Cóż... Wiem tylko, że lubimy tę samą muzykę i lody czekoladowe.

- To już coś.

Riley potrząsnęła głową.

- Zbieg okoliczności. Wcale nie jesteśmy do siebie podobni. Gdzie pochowałeś resztę rzeczy? Gdzie bałagan?

- Lubię sprzątać. Zmrużyła oczy.

- Kpisz ze mnie.

- Nie.

Tym razem nie wytrzymała i walnęła go dłonią w pierś, chociaż celowała jak najdalej od kotki. Abra syknęła ze złością i zamiauczała.

- Cicho - powiedziała Riley, patrząc na nią surowo. Spojrzała z powrotem na Jacka. - Być może głośno się nie śmiejesz, ale widzę po twoich oczach...

- Usiłuję - chrząknął głośno - nad nimi zapanować. Riley zagryzła usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

W źrenicach Jacka zatańczyły iskierki wesołości. Dopiero teraz zobaczyła, że miał szare oczy. Szare jak dym, nieco jaśniejsze w chwilach rozbawienia. Nagle uświadomiła sobie, że stoi bardzo blisko niego. Może nawet za blisko. Ogarnęła ją fala żaru. Nigdy przedtem nie doświadczyła tak silnego uczucia. Odruchowo zatrzymała spojrzenie na ustach Jacka. Były wąskie, typowo męskie, lecz zmysłowe. Jakby twarde i miękkie zarazem. Stworzone do całowania...

Nie, nie. Co jej nagle strzeliło do głowy? Czekala, aż Jack DeRosa naprawdę ją pocałuje? Szybko cofnęła się o parę kroków, nie dowierzając własnym odruchom. Jeszcze chwila, a doszłoby do... Miała wrażenie, że odskoczyła od ognia. Czuła w ustach smak dymu.

- No tak... - bąknęła, usiłując zebrać myśli. Oczy Jacka gwałtownie pociemniały. Już się nie uśmiechał. Dopiero miałby powód do radości,

gdyby naprawdę go pocałowała! Pewnie przez kilka dni nie mógłby dojść do siebie.

- Pójdziemy już?

- Oczywiście - odparła, nie ruszając się z miejsca. Nogi miała jak z waty. Potrzebowała kilku sekund, aby na dobre się opanować. - Jeszcze jedno... Powiedziałeś, że umiesz gotować.

- Bo umiem.

- Po tej kuchni tego nie widać. Jack milczał przez chwilę.

- Od dawna nie gotowałem.

Pewnie, że nie gotował. Przecież miał chorą nogę. Wiele razy widziała grymas bólu na jego twarzy.

- Przepraszam. Czasami bywam okropnie wścibska. Nie zamierzałam...

Urwała, bo w tym samym momencie zabrzączał jej telefon komórkowy. Nie wiedziała jeszcze, kto dzwoni, lecz dziękowała w duchu opatrności, że przerwano jej tę rozmowę. Wyciągnęła telefon z plecaka.

- Foster Care... Winnie? Nie, nie jestem na posterunku. Tak, rozmawiałam dzisiaj z kapitanem. Nadal ciąży na mnie podejrzenie.

Jack błyskawicznie znalazł się koło niej i położył dłoń na słuchawce.

- Pamiętaj, jestem tylko twoim pomocnikiem - szepnął. - Nikim więcej.

- Ona się dopytuje o wyniki śledztwa - odpowiedziała również szeptem. - Przecież mogę...

- Powiedz jej, że oddzwonisz albo coś takiego. - Zabrał rękę.

- Winnic.. - zaszcebiotała Riley. - Wpadnę do ciebie, gdy zakończę popołudniowy obchód, dobrze? W takim razie do zobaczenia.

Schowała telefon do plecaka i odwróciła się do Jacka.

- To dobry moment, aby ci powiedzieć, że nie najlepiej potrafię kłamać. Muszę pamiętać, żeby się nie zdradzić. Winnie traktuje mnie jak wnuczkę. Martwi się o mnie. W czasie spotkania od razu spyta, co wreszcie postanowił Duffy. Nie chciałabym jej okłamywać.

- Więc trzymaj się jak najbliżej prawdy.

- Nie powiem jej, że już po wszystkim, skoro wciąż mnie podejrzewacie.

- Kłopot w tym, że Duffy odwołał Markham i Carmichaela. Nie będą cię nachodzić. Jeśli ta starsza pani ma trochę oleju w głowie, to zada sobie pytanie: kto teraz prowadzi śledztwo? Wnioski są oczywiste. Nie schowam się przed nią.

Riley zastanawiała się przez kilka sekund. To, co powiedział Jack, nie było pozbawione sensu.

- No dobrze... Jak jej to wytłumaczyć?

- Już ci mówiłem: nie odbiegaj od realiów. Rozpowiadaj, że ze względu na brak dowodów dochodzenie poszło zupełnie innym torem.

- To przecież do pewnego stopnia prawda.

- No właśnie.

Przypatrywała mu się przez chwilę.

- Naprawdę jesteś dobry w tym, co robisz.

- Staram się.

Przecudownie! - jęknęła w duchu.

Potrzebny mi sprytny gliniarz! Zwłaszcza teraz, kiedy w plecaku mam skradzioną broszkę!

ROZDZIAŁ TRZECI

- Wpadniemy do mnie tylko na chwilę, żeby zostawić walizkę - powiedziała Riley, przekręcając klucz w zamku. - Abra potem pojedzie z nami. Nie powinniśmy jej zostawiać z Bardem i Beowulfem.

- Z Bardem i Beowulfem? - powtórzył.

- To papuga i pies - wyjaśniła Riley. - Trafiły tutaj po śmierci swoich właścicieli. Nie mogłam oddać ich do schroniska. Ale stryj Avery powiedział, że na tym koniec. Żadnych innych zwierzaków. - Popatrzyła na niego z ukosa i pchnęła drzwi na oścież. - Dobrze chociaż, że Abra przylgnęła do ciebie.

- Zaraz, zaraz... Nie należy do mnie. Nie jestem farmerem.

- Przecież to tylko kotka. - Riley weszła energicznie do mieszkania.

Rozległo się szczekanie i kilka innych dźwięków, których Jack nie potrafił zidentyfikować. Za chwilę przez przedpokój przetoczyła się góra futra. Z radosnym ujadaniem skoczyła na dziewczynę. Riley zatoczyła się do tyłu i wpadła na Jacka. Rzucił bagaż, złapał ją za ramiona i wsparł się plecami o ścianę. To pozwoliło im obojgu zachować równowagę. Kotka wyrwała się i pognęła do kuchni, zawzięcie ścigana przez psisko. Riley chwyciła Jacka za rękę i pociągnęła za sobą.

- Ratuemy ją! - krzyknęła.

Z kuchni dobiegał niesamowity hałas. Jeden skrzekliwy głos wybijał się ponad inne:

- Och, biedny Joriku!

Jack rozejrzał się po pomieszczeniu. Zobaczył dużą papugę siedzącą na dachu wielkiej drucianej klatki. To ona cytowała nieśmiertelnego barda ze Stratfordu. Jack w pierwszej chwili pomyślał, że fanem Szekspira jest starszy pan, odziany w czerwony aksamitny szlafrok. Wysoki, z długimi włosami zaczesanymi do tyłu, jota w jotę pasował do opisu aktora, zawartego w raporcie Alex. Był to na pewno stryj Riley. Góra futra za stołem szczeknęła trzy razy. Odpowiedział jej gniewny syk uczeptionej obrusa kotki. Widać było, że Abra przejęła inicjatywę i trzyma w szachu zarówno psa, jak i papugę.

W krótkim momencie ciszy zabrzmiał nagle wesoły śmiech młodego drągala opartego o kredens. Chłopak niemal zwijał się z uciechy. To pewnie brat Riley, pomyślał DeRosa

Nagle pies przestał szczekać, sapnął głośno i zabrał łapy ze stołu. Kotka parsknęła na papugę. Młodzieniec znów zachichotał.

- Precz, precz, powiadam! - zaskrzeczała papuga.

Potem zapadło milczenie, przerywane jedynie cichym skomleniem psa i zduszonym śmiechem chłopaka.

Avery Foster dramatycznym ruchem wycelował palcem w kotkę.

- Ten zwierzak tu nie zostanie. Już ci mówiłem: dwa wystarczą. Zmieniasz mi dom w menażerię!

- Na pewno nie zostanie, stryju - potulnie zgodziła się Riley i obdarzyła go serdecznym uściskiem. - Za kilka dni znajdę jej odpowiednie lokum. Obiecuję. A kiedy już otworzę prawdziwe schronisko, to na pewno ktoś też przygarnie Barda i Beowulfa.

- No dobrze... - mruknął udobruchany Avery. Wywrócił oczami i machnął ręką. - Jesteś przekonana, że nowojorczyacy marzą o psie wielkim jak żreback i o papudze, która co pięć minut masakruje Szekspira...

- Och, biedny... - zaczął Bard.

Kotka miauknęła przeraźliwie. Papuga zaskrzeczała coś w odpowiedzi, zatrzepotała skrzydłami i umilkła.

- Niemożliwa szelma - odezwał się brat Riley. - Wystraszyła ich nie na żarty. - Zerknął na Jacka. - Kim pan jest?

- To Jack DeRosa, mój nowy pomocnik - szybko wyjaśniła Riley.

Jack poczuł na sobie uważne spojrzenie dwóch par oczu. Ben przypatrywał mu się z ciekawością, stryj zaś z wyraźną rezerwą.

- Powtarzałaś zawsze, że nigdy nikogo z zewnątrz nie zatrudnisz - powiedział Avery, nie odrywając wzroku od Jacka.

- To prawda, ale pan DeRosa chciał się gdzieś zatrzymać, bo dopiero przybył do Nowego Jorku. Pomyślałam sobie, że na krótką chwilę możemy mu odstąpić jeden z naszych pokoi. Dałam mu więc „ofertę nie do odrzucenia”. To wszystko.

Avery wydał usta.

- Ma pan jakieś referencje?

- Kapitan Duffy bardzo go polecał - wtrąciła Riley. - Spotkaliśmy się na posterunku.

Stryj natychmiast zapomniał o Jacku i z niepokojem spojrzał na bratanicę.

- A ty co tam robiłaś?

- Była następna kradzież. Tym razem u Hattie Silverman. Duffy wezwał mnie na rozmowę.

- Na pewno wciąż cię podejrzewa. - Avery ciężkim krokiem zaczął przechadzać się po kuchni. - Powinnaś wziąć adwokata. Ktoś przecież musi cię bronić.

Zatrzymał się i popatrzył na Jacka.

- Może pan przemówi jej do rozsądku.

- Ja... - Jack nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

- Rozsądek podpowiada mi, że musimy dbać o oszczędności - spokojnym, lecz stanowczym głosem oznajmiła Riley. - Nie będę brać pieniędzy przeznaczonych na naukę Bena tylko po to, żeby pogawędzić z jakimś cwany prawnikiem. A poza tym...

- Żyjemy wśród pieniaczy! - Avery podszedł do kredensu i odwrócił się z uniesioną dłonią tak prędko, aż mu zafurkotały poły czerwonego szlafroka. - Każdemu z nas potrzebny prawnik!

- Niepotrzebna mi kasa, jeśli nie pójdę na studia - wtrącił Ben. - Nie muszę mieć magistra, żeby być filmowcem.

- Najpierw ukończysz college - powiedziała Riley. - To już postanowione. Dopiero potem zaczniesz kręcić filmy.

- Stryj Avery nie kończył studiów, a został aktorem.

- Hola, hola! - Avery uniósł obie ręce. - Wypraszam sobie! Już tyle razy powtarzałem, żeby mnie nie wciągać do rodzinnych sprzeczek.

Ben zerknął na Jacka.

- A pan? Zmuszali pana do nauki?

- Nie - odparł Jack. Wróciły dawne, bolesne wspomnienia. Ciotka Rachel namawiała go, by wziął jej oszczędności i żeby zaraz po maturze wstąpił do akademii policyjnej. Nie skorzystał z oferty. Dziś wstydził się tego tak samo jak w dniu jej pogrzebu. Zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, Ben zwrócił się do Riley:

- Weź tę forszę i idź do adwokata.

- Nie - odpowiedziała twardo. - A poza tym dziś się dowiedziałam, że dochodzenie skierowano na inne tory. Nie znaleziono żadnych dowodów łączących mnie z kradzieżami.

- To już o wiele lepiej - ucieszył się Ben.

Avery wciąż jeszcze nie skończył rozmowy z Jackiem.

- A skąd pan zna naszego drogiego kapitana?

- To stary kumpel mojego ojca. Walczyli razem w Wietnamie - wyjaśnił Jack. Wcale nie kłamał. Dobrze to zresztą pasowało do całej historyjki, którą po drodze wymyślili z Riley. Tylko czy to wystarczy, by przekonać stryja? Avery Foster miał skłonności do egzaltacji, ale poza tym umiał myśleć trzeźwo i przenikliwie.

- Trochę oszczędza pan nogę - zauważył jakby na potwierdzenie domysłów Jacka.

- Mały wypadek samochodowy - odparł DeRosa. - Uznałem, że to dobry pretekst, aby wynieść się z prowincji i poszukać szczęścia w wielkim mieście.

Avery już otworzył usta, żeby zadać następne pytanie, ale Riley stanęła przed nim i wzięła się pod boki.

- Stryju, proszę... To nie jest akt trzeci z twojej najnowszej sztuki. Nie udawaj Sherlocka Holmesa.

- Wręcz przeciwnie! - z dramatycznym uniesieniem zawołał Avery. - Jeśli Harold pozyska odpowiednich sponsorów, to będę Sherlockiem Holmesem!

Riley dała krok naprzód. Stryj cofnął się pospiesznie.

- Masz mi za złe, że go zatrudniłam? - spytała. - Chcesz go zwolnić, zanim jeszcze zaczął pracę?

- Jestem Ben - tuż koło ucha Jacka rozległ się głos młodzieńca. - Niech pan nie zwraca zbytnej uwagi na zachowanie stryja. Wydaje mu się, że cały czas jest na scenie. Czyż to nie fajne?

Jack popatrzył na niego. Ben był wyższy od siostry, ale miał jej karnację i kolor włosów. Tylko niebieskie oczy chłopca wydawały mu się nieco jaśniejsze.

- Pewnie, że fajne - przytaknął. - To przecież dobrze, że tak bardzo troszczy się o twoją siostrę. Chcesz mnie o coś zapytać?

- Naprawdę będzie pan tu mieszkał?

- Taki był projekt - odparł Jack.

- A umie pan gotować?

- Trochę.

- Spaghetti też? - zagadnął chłopak.

- Owszem.

- Czy słyszałem słowo „spaghetti”? - Avery zerknął ponad ramieniem wciąż stojącej przed nim dziewczyny.

- Umie gotować! - z ożywieniem zawołał Ben.

- Z klopsami? - spytał Avery.

Nagle Jack zdał sobie sprawę, że stał się obiektem zainteresowania wszystkich żywych istot przebywających w kuchni. Riley, Ben, Avery, Beowulf, Bard i Abra spoglądali na niego, jakby trzymał w ręku bilety do ziemi obiecanej.

- Z... klopsami - potwierdził z wolna.

- Nie zapędzicie go do garów już pierwszego dnia pracy! - ucięła Riley. - Dajcie mu chociaż trochę czasu na aklimatyzację. Poza tym dzisiaj ja mam dyżur.

- Wieczorem idę do Jeffa i Henry'ego - natychmiast oznajmił Ben. - Zostanę tam na noc. Musimy się przygotować do egzaminów z matmy.

- Jeff miał przyjść tutaj - przypomniała mu Riley. - Chciałam dziś z tobą porozmawiać.

- Jego mama robi lasagne - odparł Ben i popatrzył na Jacka. - To co z tym spaghetti? Może jutro?

- W sobotę! Świetnie! - ucieszył się Avery. - Przed dziewiątą na pewno wrócę od Harolda. - Przeniósł wzrok na Riley. - Za chwilę też do niego idę. Popracujemy nad trzecim aktem, więc nie czekaj na mnie z kolacją.

Spojrzał na Jacka.

- Witamy na pokładzie.

- Właśnie - dodał Ben i błysnął zębami w uśmiechu. W kuchni zrobiło się pustawo.

- Od razu się uspokajają, kiedy im zapowiem, że mam zamiar wziąć się do kolacji - westchnęła Riley.

- Aż tak źle?

- Nawet gorzej. Ale im też to nie wychodzi. Ja jednak przynajmniej próbuję ich potraw.

- Dlaczego nie zatrudnisz jakiejś gospodyni?

- Nie stać mnie na to.

- Stryj mieszka w apartamencie przy Park Avenue, a nie stać go na gosposię?

- Niestety, nie. Poczył złe inwestycje. - Odwróciła się szybko, ale Jack zauważył, że nagle posmutniała. Spojrzała na zegarek. - Nie stać nas będzie nawet na zakupy, jeśli zaraz nie pojedziemy do Zimmermanów. Zbieraj się. Bernardyn czeka na mały spacer.

Jack kroczył za nią z zamyśloną miną. Prawdziwa Riley nie pasowała do tej, której opis znalazł w policyjnych aktach. I nie była jedyną z rodziny Fosterów, która miała wyraźny motyw, by dokonać kradzieży. Avery potrzebował pieniędzy na swoją sztukę, Ben zaś marzył o karierze filmowca. No i ten apartament... Czyny, utrzymanie...

W windzie zrozumiał nagle, że gnębi go coś jeszcze. Nie chciał, aby to Riley okazała się złodziejką.

- To jest pomocnik, co się zowie, słonko! - z uznaniem powiedziała Winnie Cantrell. - Dokonałaś świetnego wyboru.

Spojrzała na słoiczki stojące na kredensie. Z jednego z nich zaczerpnęła łyżeczkę pokruszonych listków, wrzuciła je do filiżanki i natychmiast sięgnęła do innego. Promienie wieczornego słońca wpadały przez okno do kuchni. Winnie parzyła herbatę tak starannie, jakby przeprowadzała jakieś doświadczenie. Po pewnym czasie spojrzała na Riley. W niebieskiej szyfonowej podomce wyglądała na adeptkę magii.

- Musisz mi wszystko o nim opowiedzieć - oznajmiła Winnie.

Riley z rezygnacją wdrapała się na wysoki stółek. Winnie niemal wprost z korytarza zabrała ją do kuchni, pozostawiając Jacka na łasce trzech innych pań z kółka brydżowego.

- Mów - zażądała.

- Poznaliśmy się w mrocznym zaułku. Pomógł mi... uratować zabłąkaną kotkę - powiedziała Riley.

- Och! Naprawdę? Jakie to romantyczne!

Zdaniem Riley, w Jacku nie było ani krzty romantyzmu. Wręcz przeciwnie, stanowił niemałe zagrożenie. Wciąż pamiętała o tym, co się stało w jego kawalerce. O tym, jak w zasadzie niewiele brakowało, żeby go pocałowała.

- Trochę mi przypomina mojego drugiego męża -ciągnęła Winnie, wciąż zajęta parzeniem herbaty. - Ten to był chłop na schwał... Tylko że nie miał pieniędzy. Ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało, bo przejęłam pokaźny majątek po pierwszym mężu.

- Moja znajomość z Jackiem DeRosą to coś całkiem innego. On jest... -
W ostatniej chwili ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a byłaby wspomniała, że Jack jest policjantem. - Po prostu moim pomocnikiem. Zatrudniłam go, bo zna się na zwierzętach. Kotka, którą znaleźliśmy, od początku przyłgnęła do niego.

- Zwykły zwierzak, kochanie, a ma więcej rozsądku od ciebie - zauważyła Winnie.

- Nie starcza mi teraz czasu, żeby uganiać się za chłopakami! - z przejęciem zawołała Riley. - Wszystkim wiadomo, że pod koniec roku chcę otworzyć własne schronisko, więc...

- Nie cofnęłam swojej oferty. Chętnie pożyczę ci pieniądze i możesz zaczynać już jutro.

- Nie, dziękuję. Jeśli coś mi się nie powiedzie, stracę tylko własne fundusze.

- Ciągłe się porównujesz z ojcem? Przecież jesteś zupełnie inna. Nie możesz brać na siebie winy za wszystko, co on zrobił.

- I wcale nie zamierzam powielać jego błędów. Nie będę korzystała z cudzych oszczędności.

Winnie ścisnęła ją lekko za obie dłonie.

- Jak chcesz. Wiedz jednak, że na tym świecie nie obędziesz się bez pomocy. Wszyscy tak robią. A teraz powiedz mi coś więcej o swoim pomocniku. Zawsze mówiłaś, że cię nie stać na zatrudnianie nowych ludzi. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Riley była przygotowana na to pytanie. Prawdę mówiąc, oczekiwała go od chwili wejścia do kuchni.

- Niedawno przybył do Nowego Jorku i nie miał się gdzie zatrzymać. Będzie pracował przede wszystkim za wikt i mieszkanie.

- Wprowadził się do ciebie? A to heca! To ja cię tu namawiam, żebyś zwróciła na niego trochę większą uwagę, a ty...

Winnie okrążyła stół i z całej siły uściskała dziewczynę.

- Cofam to, co powiedziałam o mądrości kotki. - Westchnęła z głębi piersi. - Wyczuwam w tym początek przepięknej historii. Wyczytałam to rano w herbacianych fusach. Telefon od komisarza potwierdził zresztą moje przypuszczenia.

- Co powiedział? - zapytała Riley.

- Policja nie znalazła żadnych wyraźnych dowodów, wskazujących na twoje powiązania z tymi kradzieżami. Dalsze śledztwo poszło zupełnie innym torem. - Przerwała, słysząc donośny gwizd czajnika, i odwróciła się w stronę kuchenki. - Jesteś całkiem bezpieczna! A w dodatku spotkałaś pana DeRose. To się nazywa szczęście!

Riley skrzywiła się nieznacznie. Coś ssało ją w żołądku. Szczęście? Cóż za złuda! Żyła krok od koszmaru. Przecież Jack w każdej chwili mógł wsunąć dłoń do plecaka i znaleźć papierową torbę, a w niej - drogocenną brylantową broszkę.

- Winnie... Muszę ci coś powiedzieć. Tylko ciebie darzę pełnym zaufaniem.

- Proś, o co zechcesz, kochanie. Po siedmiu mężach i jeszcze liczniejszych kochankach - nigdy nie stawiałam kresek na wezglowiu łóżka - nic mnie już w życiu nie zdziwi. Nie krępuj się. Opowiadaj.

- Tu nie chodzi o mężczyzn - westchnęła Riley - ale o kradzieże.

- Tym się nie musisz martwić.

- Muszę. Dzisiaj rano zajrzałam do plecaka i znalazłam w nim brylantową broszkę. Nie mam pojęcia, jak tam się znalazła. Chciałam ją zaraz zanieść na policję, ale w tym samym czasie zadzwonił kapitan Duffy i

powiedział, że brakuje im tylko dowodu, żeby mnie aresztować. Przestraszyłam się i o niczym mu nie powiedziałam.

- Co to za broszka? Możesz ją opisać? - zainteresowała się Winnie.

- Jestem zupełnie pewna, że to własność Hattie. Duży kamień pośrodku, otoczony brylancikami. Widziałam, jak ją nosiła.

- No tak... - z westchnieniem powiedziała Winnie. - Tego się właśnie obawiałam.

- Czego? - Riley popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Rozmowa z komisarzem dała mi do myślenia. Napomknął, że jak chcę ci naprawdę pomóc, to powinnam przedstawić własną listę podejrzanych. Nie potrzebowałam się długo zastanawiać. Od razu przyszła mi na myśl Hattie.

- Niemożliwe... - Riley pokręciła głową. - Przecież nie cierpi na brak pieniędzy.

Winnie ściszyła głos do szeptu.

- Przed piętnastoma laty poznałam ją w fundacji, którą wówczas prowadziłam. Uznałam, że warto jej pomóc, więc zaproponowałam, aby przeprowadziła się do tego domu. W przeszłości rabowała banki ze swoim kochankiem. Miał powiązania z mafią. Nazywał się Louis „Skala” Mancuso, ale ona mówiła doń „Rocky”. Zawsze była pod jego wpływem. Przed miesiącem wyszedł z więzienia. To przecież wtedy zaczęły się pierwsze kradzieże, prawda?

Riley tylko przytaknęła.

- Zadzwoił do niej tylko raz. Od tamtej pory Hattie stała się jakaś dziwna.

- Może popadła w czarną rozpacz, że z nią się nie kontaktuje?

- Albo... - Winnie na chwilę zawiesiła głos, a potem dokończyła szeptem: - Albo on próbuje znów ściągnąć ją na złą drogę. Pamiętasz, co w „Ojcu chrzestnym” spotkało Michaela Corleone?

Riley, choćby się starała, nie mogła sobie wyobrazić Hattie Silverman w roli złodziejki. Staruszka chodziła z laską i gdzie usiadła, tam przysypiała.

- Przez tyle lat żyła uczciwie. W dodatku ledwie się rusza. Jak doszłaby do Cory Simpson? Przecież to za daleko!

Winnie ponownie westchnęła.

- W poniedziałek, w sam dzień kradzieży, byliśmy u Cory na plotkach. Pojechaliśmy tam taksówką.

Riley stanowczo pokręciła głową.

- Hattie by cię nie okradła. Lubi was. Ciebie, Gert i Prune... Dlaczego miałyby was skrzywdzić?

- Na pewno zdaje sobie sprawę, że wcale nie zbiedniejemy, kiedy nam zabierze te parę błyskotek.

- Załóżmy, że to prawda. Jak zatem wytłumaczysz fakt, że jej własna broszka znalazła się w moim plecaku?

- Hattie wiedziała, że mam zamiar rozmówić się z komisarzem. - Winnie nachyliła się w stronę dziewczyny. - Bała się, że jak śledztwo pójdzie innym tropem, to zaczną ją podejrzewać. Wpadła w panikę.

Riley chwyciła ją za rękę.

- Chyba się mylisz!

- Jest jeden sposób, by to sprawdzić - odpowiedziała Winnie. - Podrzucić broszkę z powrotem do jej mieszkania. Zobaczymy, co zrobi. Gdy oznajmi, że ją znalazła, to rzeczywiście jest niewinna. Co innego, jeśli spróbuje znowu ci ją podrzucić...

Riley już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Żadne spory z Winnie nic tu nie pomogą. A poza tym - spodobał jej się ten pomysł. Przecież najlepiej pozbyć się tej upiornej broszki...

- Zgoda - mruknęła. - Zrobię to dziś wieczorem.

- Grzeczna dziewczynka. Potrzebna ci moja pomoc?

- Nie, dziękuję. Lepiej będzie, jak spróbuję sama. Winnie konspiracyjnie mrugnęła do niej okiem, kiwnęła głową, zabrała tacę z herbatą i poszła do pokoju.

- Dolać panu herbaty? - spytała starsza pani, którą Riley przedstawiła mu jako Winnie Cantrell. Gdy zobaczyła, że utyka, zaraz go chciała napić jedną z „leczniczych herbatek”. Jack jednak nie dał zwieść się pozorom. Wiedział, że wyszła do kuchni głównie po to, żeby bez świadków porozmawiać z Riley. Policjanci też tak postępowali.

- Nie, dziękuję - odpowiedział grzecznie. - Jeszcze nie dopiłem poprzedniej.

Winnie bezceremonialnie zerknęła mu do filiżanki.

- To za mało, by magia mogła zacząć działać - oznajmiła. - Nie pomoże na nogę.

Jack poczuł się jak dziecko skarcone przy stole za to, że nie zjadło całego śniadania. Szybko upił następny łyżeczek herbaty.

Winnie z aprobatą pokiwała głową i podeszła do następnej ofiary. W salonie było mnóstwo ludzi. Przeważnie staruszek. W chwili gdy Winnie i Riley zniknęły za drzwiami kuchni, atak na Jacka przypuściły trzy leciwe panie, należące do kółka brydżowego.

Siwowłosa Hattie Silverman była z nich najcichsza i najmniej. Co chwila zapadała w króciusięnką drzemkę. Miała też najmniejszego pieska, rasy chihuahua, który wabił się Baby. W tej chwili oboje spali. Gert i Prune

Fielding były bliźniaczkami. Rozsiadły się w fotelach po obu stronach Jacka. Obie krępe i przysadziste, przyszły z buldogami imieniem Frick i Frack. Charakterem jednak różniły się jak dzień od nocy. Gert była starą zrzedą w okularach, krytykującą wszystko, co powiedziała jej siostra. Z kolei wiecznie uśmiechnięta Prune wcale się o to na nią nie gniewała. Jack zastanawiał się, czy w ogóle jest coś na świecie, co mogłoby ją choć na moment wytrącić z równowagi.

Wtem zauważył, że Prune uśmiecha się do niego przymilniej niż przed chwilą.

- Jeśli nie lubi pan herbaty, to zapraszam do siebie - powiedziała, patrząc gdzieś ponad jego lewym ramieniem. - Parzę wyśmienitą kawę.

- Ha! - parsknęła Gert. - Wyśmienitą. Dobre sobie. Nigdy nie wiadomo, co do niej nasypiesz. - Spojrzała na Jacka. - Bez okularów jest ślepa jak nietoperz.

Jack uniósł swoją filiżankę.

- Bardzo smakuje mi ta herbata.

W odróżnieniu od swoich przyjaciółek, Winnie Cantrell była wysoka i szczupła. Od psów zdecydowanie wolała koty. Miała wielkiego i czarnego kocura o wyjątkowo dobranym imieniu Belzebub. Teraz leżał leniwie na oparciu kanapy, wysuwając pazury dosłownie centymetr od ramienia Jacka.

DeRosa czytał w aktach, że każda z tych kobiet była klientką Riley i że każda z nich padła ofiarą kradzieży. Z uścisków, jakie przed półgodziną towarzyszyły ich powitaniu, należało wnosić, że żadna też nie wierzy w winę dziewczyny.

- Czujesz się pewnie tutaj jak Alicja na podwieczorku u Szalonego Kapelusznika - ściszone głosem powiedziała Riley, siadając tuż koło niego na kanapie. Jack uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

- Zjedz jeszcze jedno ciastko. To pomaga usunąć z ust cierpki smak herbaty.

Zerknął do filiżanki.

- Mogę zapytać, co to za mieszanka? Riley roześmiała się cicho.

- Winnie nigdy nie zdradza sekretów swojej kuchni. Podejrzewam jednak, że to jakiś lubczyk.

- Tego się właśnie obawiałem. - Jack spojrzał na nią spod oka. - Jak ci poszło podczas rozmowy?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła w ścianę.

- Nie wie, że jesteś policjantem.

Czego się boi mi powiedzieć? - zachodził w głowę DeRosa. Po południu zrobili całkiem niezłą rundkę. Pięć spacerów z psami. Czeka mnie kolejna bezsenna noc, westchnął w duchu. Bezwiednie rozmasował obolałą nogę.

- Zaraz wychodzimy - odezwała się Riley.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Winnie poszła otworzyć, odprowadzana przez komitet powitalny, złożony z trzech psów i kota. Riley zeszywniała lekko, słysząc głos w przedpokoju.

- Jakieś kłopoty? - cicho zapytał Jack.

- Nie... Nic takiego.

Winnie wróciła w towarzystwie młodego, przystojnego blondyna. Ten rozejrzał się po pokoju, zobaczył Riley i natychmiast ruszył w jej stronę.

- Cześć. Jak leci? - spytał i wziął ją za rękę. - Zmartwiłem się, kiedy ciotka mi powiedziała o kradzieżach i podejrzaniach. Dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony? Unikasz mnie?

- Byłam bardzo zajęta - odparła dziewczyna.

- Chciałbym ci jakoś pomóc.

- Wzięłam sobie do serca twoją ostatnią radę i zatrudniłam pomocnika - powiedziała Riley. - To Jack DeRosa. Jack, to siostrzeniec Winnie, Charles Cantrell.

Jack wstał i wyciągnął rękę na powitanie. W ten sposób zmusił Charlesa, żeby puścił dłoń Riley. Wydawało mu się, że dziewczyna westchnęła z ulgą. Właśnie się zastanawiał, co to może znaczyć, kiedy podeszła do nich gospodyni.

- Riley już ci przekazała wszystkie dobre wieści? -zwróciła się do Charlesa. - Wreszcie przyjęła do pracy pomocnika.

- Właśnie się poznaliśmy - odparł Cantrell.

- Ja jeszcze go nie poznałam.

Jack odwrócił głowę na dźwięk nowego głosu. Zobaczył szczupłą blondynkę, idącą w jego stronę.

- Ach, tu jesteś, Christino - ucieszyła się Winnie. -Myślałam, że stoisz za mną.

- Miałam pilny telefon. Przegapiłam coś jeszcze?

- Riley została oczyszczona z wszelkich podejrzeń -oznajmiła Winnie.
- Ktoś w policji poszedł po rozum do głowy.

- Co? Co się stało? - Hattie przerwała drzemkę i nagłym ruchem uniosła się z fotela. - Nie dosłyszałam? Była kolejna kradzież?

Nastąpiły dokładne wyjaśnienia. Jack dowiedział się przy okazji, że Christina jest siostrą Charlesa i że Riley przed laty chodziła z Cantrellem. Charles najwyraźniej chciałby ją odzyskać. Oboje właśnie zniknęli w przedpokoju.

- Tak, proszę pani. Będę pilnował, żeby Frick nie zabawiał się w parku z suczkami - odparł Jack, z roztargnieniem słuchając pouczeń Gert, jak opiekować się jej buldogiem. Uśmiechnął się do niej przymilnie. - Moja

szefowa zbiera się do wyjścia - powiedział. - Nie chciałbym stracić posady już pierwszego dnia pracy.

- Ale ja jeszcze nie zdążyłam nic panu powiedzieć o Fracku. - Prune wyciągnęła rękę, aby go powstrzymać, lecz chybiła o parę centymetrów.

Gert położyła jej dłoń na ramieniu.

- Daj spokój, dziewczyno! Ma przez ciebie wylecieć z pracy?

Jack ukłonił się bliźniaczkom i już, już miał odejść, gdy wyrosła przed nim Hattie. Zmarszczyła czoło, jakby próbowała coś sobie przypomnieć.

- Poznał pan mojego Baby?

- Tak - odpowiedział Jack. Chihuahua wyszczerzył ząbki.

- On chyba pana nie poznaje - zmartwiła się Hattie. - Pewnie przespał całą rozmowę.

- Lepiej na niego uważać - wtrąciła Gert. - To ludożerca.

Baby szczerknął krótko, kiedy Winnie wzięła Jacka pod ramię i poprowadziła w stronę przedpokoju. Opieka nad zwierzętami łączy się z opieką nad ich właścicielami, pomyślał DeRosa. Zuch dziewczyna z tej Riley... Lecz jego podziw trwał nadspodziewanie krótko. Ledwie bowiem stanął w drzwiach, zobaczył Riley całującą się namiętnie z Charlesem.

Targnęły nim sprzeczne uczucia - ale jedno było najsilniejsze. Miał szczerą ochotę złapać Charlesa za kołnierz

I rzucić nim o ścianę.

- Szlag by to trafił! - zakląła Riley, gdy tylko wyszli na ulicę.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Chciałabym mieć nieco więcej doświadczenia w postępowaniu z mężczyznami.

Skręcili za róg budynku. Riley odruchowo zerknęła na Jacka. Kroczył obok, z tym samym nieodgadnionym wyrazem twarzy, który widziała u

niego w przedpokoju, kiedy próbowała uwolnić się z objęć Cantrella. Niezupełnie wiedziała, jak ma to rozumieć.

- Ty na pewno dobrze znasz się na kobietach.

- Co takiego? - Nie potrafił powstrzymać zdumienia.

- Nic się nie przejmuj - powiedziała. - Nie będę cię pytać o szczegóły.

To i tak w niczym by mi nie pomogło. Mężczyźni są inni.

- Nigdy nie rozmawiałaś o tym z tatą? Riley pokręciła głową.

- Zawsze był w biurze albo w delegacji. Na zebraniu lub na jakimś zjeździe. Praca. Przede wszystkim praca. Nie miałam mu tego za złe. Teraz dla mnie praca też jest najważniejsza. Niepotrzebnie pozwoliłam Charlesowi, żeby mnie pocałował... - dokończyła jakby z namysłem.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał. Zatrzymali się na przejściu dla pieszych, czekając na zielone światło.

- Chciał się umówić na randkę, ale mu odmówiłam. Powiedziałam, że mam dużo zajęć. Wyglądał na zrozpaczonego, więc nie broniłam się przed pocałunkiem.

- Głupio zrobiłaś.

- Dzięki - odparła kwaśno. - Zawsze to dobrze wiedzieć, że ktoś podziela twoje zdanie.

Kątem oka zauważyła, że twarz Jacka drgnęła w lekkim uśmiechu. Zrobiło jej się lżej na duszy. Przeszli przez ulicę i wzdłuż Central Parku skierowali się w stronę domu stryja Avery'ego. Chłodny powiew przynosił zapachy bzu i magnolii. O szóstej wieczór zelżał już ruch na ulicach. Większość przechodniów rozeszła się do domów. Riley lubiła tę porę dnia.

- Dlaczego z nim nie zerwiesz, skoro z braku czasu nie zamierzasz się z nikim wiązać?

- Żyję pod ciągłą presją. Charles jest siostrzeńcem Winnie. Ona z kolei usiłuje zabawić się w swatkę. Lubię ją, więc mam wrażenie, że jestem jej coś winna.

Uniosła głowę. Jack przez ułamek sekundy patrzył jej prosto w oczy, a potem spojrział w bok. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że cień smutku przemknął po jego przystojnej twarzy.

- Darzysz ją wielką przyjaźnią - mruknął. - Zresztą z wzajemnością.

Riley przytaknęła w milczeniu. Zatrzymali się na kolejnych światłach.

- To dzięki niej i jej koleżankom z kółka brydżowego zdobyłam tak wielu klientów. Rozповідаły o mnie na lewo i prawo, nie szczędząc pochwał. Zawdzięczam jej bardzo wiele.

- Z tego, co widziałem, wynika prosty wniosek, że żadnej z nich nie zbywa na pieniądzech.

- Też tak zawsze myślałam. Teraz jednak, po tym, co mi powiedziała Winnie... - urwała i zerknęła na Jacka. - Dlaczego pytasz?

- Wykonuję swoją robotę. Chcę znaleźć prawdziwego sprawcę kradzieży.

- To żadna z nich - odparła stanowczo i dodała w duchu: Nieprawda. Na krótką chwilę zapomniała, co jeszcze ma dzisiaj zrobić. Mały błąd, i szybko trafi do więzienia. A jak nie ona, to może Hattie Silverman? Tylko jak podrzucić broszkę z powrotem do mieszkania Hattie? Kątem oka dostrzegła błysk zielonego światła. Zamyślona, dała krok naprzód... i niemal wpadła pod taksówkę, jadącą po pasach. W ostatniej chwili ktoś chwycił ją za ramię i silnie szarpnął do tyłu. Taksówka przemknęła obok, a Riley upadła na Jacka. Oboje przez dłuższą chwilę leżeli na chodniku. Riley z trudem odzyskiwała oddech. Podniosła się powoli. Jack jęknął cicho.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- To ta cholerna noga - odparł i usiadł. Para przechodniów ominęła ich szerokim łukiem. - Chyba ją na dobre skręciłem.

- Daj rękę. Pomogę ci wstać - zaproponowała.

- Nie trzeba. Poczekaj, tylko odpocznę z minutę i sam się podniosę.

- Przepraszam - powiedziała. Jack rozmasował biodro. - Nie patrzyłam, co robię, kiedy weszłam na jezdnię. Gdybyś mnie nie złapał...

Na policzku poczuła delikatne drapanie jego brody. Bił od niego niezwykle męski zapach mydła... i słońca. Mogłaby tak długo leżeć w jego objęciach. Kiedy próbowała wstać, położył jej rękę na plecach.

- To nie najlepszy pomysł - powiedział.

Zawisła spojrzeniem na jego ustach. Nieważne, czy to dobry, czy może zły pomysł... Chciała go pocałować. Ani na chwilę nie przestawała o tym myśleć - nawet wtedy, gdy całowała się z Charlesem.

Nie była pewna, kto zaczął pierwszy. Nagle poczuła lekkie muśnięcie na swoich wargach. Trwało to tylko moment, lecz natychmiast ogarnęła ją fala gorąca.

- Bardzo zły pomysł - dodał Jack, nie wypuszczając jej z uścisku.

Tym razem pocałunek trwał o wiele dłużej. Świat odpłynął gdzieś na bok. Jak przez mgłę słyszała trąbienie klaksonu i śmiech, dobiegający z wnętrza jakiegoś samochodu. Serce waliło jej jak młotem. Jack był stworzony dla niej. Chciała mu się zwierzyć ze wszystkich tajemnic... Właśnie, tajemnice. Zbyt wiele ich było i nie wszystkie dostępne dla uszu policjanta. Westchnęła cicho i odchyliła głowę. Jack był gliniarzem, ona zaś podejrzaną, a tuż obok, w plecaku, spoczywał namacalny dowód, który w każdej chwili mógł stać się przyczyną jej ostatecznej zguby.

- Masz rację - wyszeptała. - To nie najlepszy pomysł. Niech to będzie dla nas nauczka na przyszłość.

Z wyraźnym trudem stanął na czworakach i bez pośpiechu dźwignął się na nogi. Riley nie próbowała mu w tym dopomóc. Bardzo się pilnowała, żeby go znów nie dotknąć.

Jack skrzywił się, próbując stać prosto.

- Masz jakiś środek przeciwbólowy?

- Całą fiolkę pastylek, w walizce. Śpię po nich jak suseł.

Gdy ponownie czekali na zmianę świateł, zupełnie nowy plan zrodził się w głowie Riley. Już wiedziała, kiedy i w jaki sposób podrzuci brylantową broszkę do mieszkania Hattie Silverman.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Riley spojrzała na swoje odbicie w lustrze stojącym w sypialni. Patrząca na nią dziewczyna nie wyglądała na kryminalistkę. Ale nią była. Przed chwilą z pełną premedytacją uspiła policjanta. Zerknęła na swoje dłonie. Wciąż drżały, tak jak wówczas, gdy dosypywała pokruszoną tabletkę przeciwbólową do zupy pomidorowej, przeznaczonej dla Jacka. Niemal ją rozlała, stawiając talerz na stole.

Zjadł wszystko, do ostatniej łyżki. Jeszcze pochwalił ją za to, że dodała tymianku.

Słuchała tego z otępieniem. Do tej pory nikt nigdy nie podziękował jej za pomidorówkę. A przecież to najbezpieczniejszy przepis: otworzyć puszkę, dolać wody i zamieszać. Nawet nie pamiętała o tymianku. Po prostu, niewiele myśląc, sięgnęła po najbliższej stojącą przyprawę i dosypała jej do zupy tylko po to, żeby stłumić gorycz pokruszonej tabletki.

Jack podziękował jej dwukrotnie, a potem zasnął na kanapie.

To już nie było częścią planu. Miał usypiać powoli i w swoim pokoju. Tymczasem zaległ w bibliotece, niemal tuż przy drzwiach wejściowych. To spowodowało niemałe komplikacje. Riley przeprowadziła wszystkie zwierzęta do swojej sypialni, żeby nie hałasowały w chwili jej powrotu do domu.

- Precz, przekłeta plamo! Precz, mówię! - zaskrzeczał Bard.

Riley oderwała spojrzenie od swoich dłoni. Papuga nie odzywała się od chwili awantury z Abrą. Teraz przypomniała sobie kwestię Lady Makbet. Znakomite wyczucie!

- Jesteś jasnowidzem?

- Precz, przeklęta plamo!

Riley zmarszczyła brwi.

- To wcale nie to samo. Nie zabiłam go, tylko uśpiłam.

Przyszło jej do głowy, że te same słowa będzie kiedyś musiała powiedzieć przed sądem. Jeśli Jack DeRosa dowie się, co zrobiła, to ją aresztuje bez żadnych ceregieli.

I na pewno już nigdy w życiu jej nie pocałuje. To byłoby najgorsze. Westchnęła. Jak to się stało, że nie potrafiła myśleć o niczym innym? Mądre dziewczęta nie wypatrują oczu za śledzącymi ich policjantami. Cóż więc ją tak pociągało? Sypianie z wrogiem?

- Nie miałam wyboru.

Bard poważnie popatrzył na nią przez pręty swojej klatki.

Beowulf zaskomlał ze współczuciem, ale nawet nie uniósł łba z poduszki.

- Nie przyzwyczajaj się - poradziła mu Riley. - Jak tylko wrócę, powędrujesz z powrotem na legowisko w kuchni. Muszę jednak podrzucić broszkę do mieszkania Hattie, zanim się ktoś zorientuje.

Popatrzyła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Cała akcja zabrała jej więcej czasu, niż było zaplanowane. Nie wiedziała, jak długo tabletka będzie działać. Przycisnęła rękę do brzucha i wpadła do łazienki. Jeden krótki przystanek, a potem do dzieła.

Smród śmieci przyprawiał go o mdłości. Skradał się powoli, wbijając wzrok w ciemność. Noc była bezksiężycowa. Światła latarni nie docierały w głąb ponurego zaułka. Echo strzału błędziło gdzieś po zakamarkach, ale poza tym panowała cisza. Nic nie widział. Rzucił się do biegu, lecz zaraz musiał zwolnić. Po twarzy spływały mu grube krople potu. Nie wiedział, czy zdąży. Nagle tuż przed sobą zobaczył dwa cienie zwarte w morderczym

uścisku. Przystanął i uniósł pistolet w wyciągniętych dłoniach. Odczekał chwilę, żeby uspokoić oddech. Nie mógł strzelać, dopóki nie rozpoznał walczących. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch za sobą i odwrócił się błyskawicznie. W powietrzu błysnęło ostrze noża. Poczł przeszywający ból w boku. Strzelił na oślep i broń wypadła mu z ręki. Jasny błysk na ułamek sekundy rozdarł egipskie ciemności. Znowu poczuł ostrze noża w swoim ciele. Padł jeszcze jeden strzał. Za późno, przemknęło mu przez głowę, zanim na dobre stracił przytomność. Za późno.

Jack usiadł gwałtownie i przez chwilę nie wiedział, co się stało. Dyszał jak lokomotywa. Rozejrzał się.

W pierwszym odruchu nie poznał tego miejsca. Skupił uwagę na przedmiotach. Pamiętał z doświadczenia, że to najlepszy sposób, by pozbyć się koszmaru. Słyszał swój oddech. Zamknął powieki, znowu je otworzył i przycisnął ręce do skroni. Głęboko wciągnął powietrze. Poczł woń starej skóry i wosku zmieszanego z cytryną. Obok niego, na małym stoliku, stała zapalona lampka z witrażowym abażurem. Na drewnianej podłodze leżał wyblakły dywan. Całą przeciwległą ścianę zajmował regał z książkami.

Jack zamrugał oczami. Był w bibliotece, w mieszkaniu Riley Foster. Przypomnił sobie, że po kolacji oprowadzała go po pokojach. Tutaj przyszli na końcu. Usiadł i...

Zasnął? Nigdy dotąd mu się to nie zdarzało. Ze zmarszczonymi brwiami próbował sobie przypomnieć wszystkie wydarzenia minionego wieczoru. Skąd wziął się w bibliotece? Och, prawda... Noga bolała go tak bardzo, że postanowił wcale się nie kłaść. Chciał poczytać. Poczekałby, aż wszyscy zasną, i wtedy przeszukał mieszkanie. Książki stały na półkach bez ładu i składu, więc trochę trwało, zanim którąś wybrał i usiadł na kanapie.

Skrzypnęły drzwi. Jack odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Już się podnosił, kiedy spostrzegł kotkę. Abra zatrzymała się w progu, a potem przydreptała bliżej. Jednym susem znalazła się na stoliku.

Jack popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie przepadam za kotami.

Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Powoli przeszła na drugą stronę stolika i przeskoczyła na poduszkę.

- Nigdy nie rezygnujesz, co?

Ułożyła się wygodnie tuż koło jego biodra.

- Głupia - mruknął Jack. Wbrew swoim słowom delikatnie przesunął palcem po zmierzwionym futrze. Riley miała rację - Abra lgnęła do niego.

Myśl o Riley sprawiła, że spojrzał na zegarek. Wpół do dziesiątej. Kolacja była koło ósmej, a potem przeszli się po mieszkaniu. Riley stwierdziła, że co najmniej przez dwie godziny będzie ślęczała nad papierami. Jack popatrzył w stronę biurka. Tu ją widział tuż przed zaśnięciem. Siedziała, pochylona nad jakimś rejestrem, i pisała zawzięcie. W bibliotece było tak cicho jak teraz. Niczym z ogromnej dali słyszał skrzypienie ołówka i szelest przewracanych kartek. Było mu dobrze jak w rodzinnym domu. Pamiętał to uczucie z odległych lat dzieciństwa. Oczy kleiły mu się do snu.

Drgnął. Znów przysypiał. Głowa opadła mu na ramię. Co to ma znaczyć? Nigdy przedtem nie miał takich przygód. Chyba że... Z nagłym podejrzeniem podniósł się z kanapy i przeniósł cały ciężar ciała na zranioną nogę. Poczuł lekkie mrowienie, ale nic poza tym. Ani śladu bólu, który mu dokuczał.

Nie brał środków przeciwbólowych, bo po każdej dawce był nieco ociężały. Tak jak teraz. Instykt gliniarza, poparty doświadczeniem,

podpowiadał mu, że Riley specjalnie go uśpiła. Przecież sam jej powiedział, że schował do walizki sporo różnych tabletek.

Chcąc, nie chcąc, musiał przyznać, że popełnił błąd. Przede wszystkim winien pamiętać, że jest policjantem. Nie wolno mu przejawiać głębszych uczuć w stosunku do podejrzanej. Powinien ją traktować z jak największą rezerwą. O, właśnie. Przecież już widywał wiele ładnych dziewcząt i nie miało to żadnego wpływu na jego zachowanie. Przynajmniej nie w godzinach pracy.

Riley jednak była inna. Całkiem inna. Po prostu go uśpiła. Jego własnym lekarstwem! Jack wszedł do kuchni. Nie znalazł tutaj ani dziewczyny, ani psa, ani papugi. W pierwszej chwili wpadł w przerażenie. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Pewnie uciekła, żeby zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Potem jednak pomyślał spokojniej. Nie, tego by nie zrobiła. Wprawdzie znali się niezbyt długo, lecz widział jej stosunek do brata i stryja. Nie zostawiłaby ich na pastwę losu. A poza tym... Jack uśmiechnął się chytrze. Nie odeszłyby zbyt daleko z górą futra na czterech łapach i papugą co pięć minut cytującą skrzekliwie Szekspira.

Spojrzał na czajnik. Miał ogromną ochotę na kawę, ale wiedział, że najpierw musi za wszelką cenę znaleźć Riley.

Odwrócił się, aby pójść dalej, i nagle poczuł, że coś ociera mu się o nogę. Była to oczywiście Abra.

- Poprowadzisz? - spytał.

Jego pokój był na samym końcu korytarza. Kotka jednak skierowała się całkiem gdzie indziej. Jack pchnął drzwi do sypialni i poczuł delikatną woń polnych kwiatów. Zapach Riley. Rozejrzył się. Odpowiedziały mu puste spojrzenia psa i papugi. Znow się zaniepokoił. Zamknęła Barda i Beowulfa po to, żeby spokojnie uciec? W tej samej chwili usłyszał szum

wody dochodzący zza zamkniętych drzwi łazienki. Westchnął z ulgą. A zatem wciąż była tutaj.

Powiew wiatru poruszył firankami. Z dala dobiegały ściszone odgłosy ulicy. Sądząc po meblach, ten pokój był kiedyś przeznaczony dla jakiegoś mężczyzny. Białe obicia w granatowe prążki, ciemne drewno, bez żadnych upiększeń... Ale z drugiej strony, na wszystkim znać już było wyraźne piętno Riley. Na ścianach wisiały duże kolorowe zdjęcia rozmaitych zwierząt. Jack nawet rozpoznał trzy psy, które widział dzisiaj wieczorem w mieszkaniu Winnie Cantrell. Na kanapie leżały niedbale rzucone tęczowe poduszki. W sypialni panował niezwykły porządek. Jack zajrzał do kilku szuflad. To samo. Wszystko poukładane na swoim miejscu.

Potem zobaczył plecak leżący przy łóżku. Do tej pory nie miał okazji sprawdzić, co jest w środku. Wziął go do ręki i odsunął suwak. Abra natychmiast wskoczyła na pościel, a Beowulf leniwie uniósł łeb z poduszki. Wstał i wsunął nos do plecaka, jakby szukał jedzenia. Złapał coś w pysk, posmakował i wypluł.

- Źle się dzieje w państwie duńskim! - oznajmił Bard. Beowulf znów obwąchiwał plecak. Tym razem wyciągnął batonik. Abra kocim truchtem przydreptała bliżej, ale Jack wciąż patrzył na papierową torbę, która jeszcze przed chwilą tkwiła w psim pysku. Wystawało z niej coś - broszka? Uniósł ją. Na ścianach zamigotały różnobarwne ogniki.

Usłyszał cichy stuk drzwi od łazienki. Riley weszła do sypialni. Jack uniósł głowę.

- Możesz to jakoś wytłumaczyć? - spytał.

Nie odpowiedziała. Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki, poblądła i osunęła się na podłogę.

- Hej. Wstawaj. Nie śpij.

Głos dochodził do niej z ogromnej odległości. Poczowała czyjaś dłoń na swojej twarzy. Westchnęła i poruszyła głową.

- O, tak. Grzeczna mała. Otwórz oczy.

Głos był znajomy, głęboki i natarczywy. Zrobiła, co jej kazano, i spojrzała na Jacka. Jego twarz była tuż przy jej twarzy. A może to tylko sen? Taki piękny... Sen o miłości i o pożądaniu. O czystym uczuciu, zrodzonym między dwojgiem młodych...

- Czy ja śnię? - zapytała.

- Nie.

- To jeszcze lepiej - stwierdziła z westchnieniem.

- Zemdlałaś.

Zamrugła oczami i nagle wszystko sobie przypomniała. Zobaczyła Jacka, który stał obok jej łóżka i trzymał w ręku brylantową broszkę. Zacisnęła powieki. Niech to będzie tylko zły sen, błagam! - zaszlochała w duchu. Ale kiedy ponownie otworzyła oczy, wszystko było jak przedtem.

- Nie umarłam? - spytała.

- Można tak powiedzieć.

- Całe życie przemknęło mi przed oczami. Słyszałam, że po czymś takim na pewno się umiera.

Jack zasznurował usta, żeby się nie uśmiechnąć".

- Zwykle bajki. Możesz usiąść?

- Nie zakujesz mnie najpierw w kajdanki?

- Coś mi się zdaje, że nie jesteś w stanie popробować nagłej ucieczki - mruknął Jack. Złapał ją pod pachy i posadził, opierając o łóżko. Sam usiadł obok.

- Pewnie jesteś ciekaw, skąd mam tę broszkę.

- Owszem.

Pokręciła głową.

- Nigdy mi nie uwierzysz.

- Nie zaszkodzi spróbować. Zaczniemy od prostych pytań. To twoja własność?

Riley zastanawiała się przez chwilę. Co prawda cały dzień spędzili razem, nawet się całowali, ale w gruncie rzeczy nic o nim nie wiedziała. Poza tym że do przesady uwielbiał porządek. Co jeszcze? Och, prawda... umiał gotować. Winnie go polubiła... i jej przyjaciółki także... i lubił zwierzęta. Abra znowu wskoczyła mu na kolana. Zakochana idiotka. A co na drugiej szali? Niewiele... nie licząc policjanta, który przed chwilą odkrył dowód przestępstwa.

- Wystarczy, że powiesz prawdę - mruknął Jack tym samym głębokim głosem, który ją wyrwał z omdlenia.

- Nigdy nie miałam takiej broszki. Należy do Hattie Silverman.

- Wierzę ci. Widzisz? Poszło jak po maśle.

- No dobrze, więc próbujmy dalej. Wcale jej nie ukradłam. Nie wiem, w jaki sposób znalazła się w moim plecaku. Naprawdę.

- Źle się dzieje w państwie duńskim - zauważył Bard. Riley spojrzała na papugę ponad krawędzią łóżka.

- Wydaje mu się, że jest jasnowidzem. - Odwróciła głowę i napotkała nieprzenikniony wzrok Jacka. - Myślisz, że kłamię, prawda?

- Przede wszystkim muszę się napić kawy. A tobie przydałby się solidny łyk koniaku. Znajdziesz tu jakąś butelczynę?

- Nie mamy czasu...

- Uhm. - Zgonił kota z kolan na podłogę i wstał. Skrzywił się, prostując kolana. Riley zerwała się natychmiast i podparła go ramieniem.

- Ty się nie ruszaj - mruknął. - Bo znów mi zemdlejesz. Zrozumiano?

- Ale twoja noga...

- Już z nią dużo lepiej - powiedział. - Te tabletki są wprost cudowne.

Riley zaczerwieniła się jak burak.

- Zatem wiesz?

- Dobry gliniarz zawsze rozpozna, kiedy go ktoś uśpi.

I dobry gliniarz powinien zawsze rozpoznać, że ktoś kłamie. Jack z namysłem popatrzył na Riley. Zmarszczyła nos i nieufnie zajrzała do kieliszka z koniakiem. Ostrożnie pociągnęła pierwszy łyček. Oj, chyba w tym wypadku będę musiał zrezygnować ze swoich dawnych przyzwyczajień!
- westchnął w duchu DeRosa.

Zawsze był dumny z tego, że potrafił panować nad emocjami bez względu na okoliczności. Teraz jednak, niespodziewanie dla samego siebie poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Wszystko zaczęło się w zaułku, w czasie awantury o plecak i bezdomnego kota. Miał wrażenie, że w jakiś dziwny sposób coś go łączy z tą dziewczyną.

Chciał jej wierzyć, choćby przez to stał się nawet mniej obiektywny. Mało tego, cholernie dobrze czuł się w jej towarzystwie. Wziął kubek do ręki i wypił resztkę kawy. Potem usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Riley. Najwyższa pora zacząć działać, jak przystało na prawdziwego detektywa, pomyślał.

Dziewczyna zadrżała, skrzywiła się i wychyliła następny łyk koniaku.

- Nie smakuje ci? - spytał.

- Przypomina lekarstwo. Kiedy byłam mała, miałam niańkę, Irlandkę, która leki mieszała z cukrem i whisky. To wystarczyło, żeby zrobić ze mnie abstynentkę.

- Tak to już bywa. Mnie w przyszłości też będzie trudno namówić do zupy pomidorowej.

Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki.

- Przepraszam. Byłam przekonana, że się niczego nie domyślisz.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Muszę podzucić te broszkę z powrotem do mieszkania Hattie.

- Dlaczego?

- To bardzo skomplikowana sprawa.

Jack wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie jeszcze jedną kawę. Zdecydowanie była mu potrzebna, jeżeli chciał zachować zdolność trzeźwego myślenia.

- Zaoszczędzisz mi sporo czasu, opowiadając wszystko po kolei.

Riley przełknęła łyk koniaku.

- Winnie uważa, że to właśnie Hattie jest złodziejką.

- Ta z małym pieskiem? Ta, co wciąż drzemała?

- Tak.

- Nietypowa z niej kryminalistka.

- W pierwszej chwili też nie mogłam w to uwierzyć. Ale Hattie ma za sobą kryminalną przeszłość. Rabowała banki. Jej dawny partner dopiero miesiąc temu opuścił mury więzienia. Miała doskonały motyw, środki i możliwości. Potrzebne jej są pieniądze.

Jack słuchał w skupieniu. Riley powtórzyła mu niemal całą rozmowę z Winnie.

- Dzisiaj w nocy chciałam podzucić broszkę do jej mieszkania i przy okazji sprawdzić, czy nie ma tam innych skradzionych rzeczy. Może znalazłabym jakiś dowód na to, że Rocky nadał się z nią spotyka?

Jack przypatrywał się jej przez moment. Raport Alex nie zawierał żadnych rewelacji, dotyczących osoby Hattie Silverman.

- To najbardziej niecodzienna opowieść, jaką słyszałem w swoim zawodowym życiu - oznajmił bez ogródek. - A słyszałem już naprawdę wiele.

Riley odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem.

- Nic innego ode mnie nie usłyszysz.

Odstawił kubek i podniósł się ze stołka.

- Idziemy.

- Och... - Zamarła, niezdolna do żadnego ruchu. Wziął ją pod rękę i pomógł wstać.

- Ale... Pozwól mi chociaż napisać kilka słów do stryja i Bena. Muszę im zostawić odpowiednie instrukcje.

- Po co? Przecież wrócą rano.

- Muszą się sami zająć klientami przez ten czas, jak będę w więzieniu.

Jack westchnął ciężko.

- Nie zabieram cię do więzienia. Pomogę ci podrzucić broszkę do mieszkania pani Silverman.

- Co takiego?! Więc mi wierzysz?

- Powiedzmy, że wierzę w uczciwą policyjną robotę.

Najlepiej kolejno sprawdzić wszystkich podejrzanych. Zaczniemy od twojej przyjaciółki Hattie.

- Masz jakiś konkretny plan? - zapytał Jack, kiedy stanęli pod budynkiem, w którym mieściła się siedziba kółka brydżowego Winnie Cantrell. Dochodziło wpół do jedenastej. Przez szklane drzwi widać było jasno oświetlony hol, wartownika w mundurze i kamerę wiszącą na ścianie.

- Coś w tym stylu - odpowiedziała Riley i wsunęła swój klucz do zanika.

Wartownik uniósł głowę znad książki i uśmiechnął się na powitanie.

- Dobry wieczór, panno Riley. Wzięłem się za psa dokładnie tak, jak mi pani kazała. Wnuczek jest po prostu zachwycony.

- Bardzo się cieszę, Tommy. - Riley szybkim krokiem podeszła do kontuaru. - Poznaj mojego nowego pomocnika, Jacka. Jack, to Tommy Nesbitt.

- Nie spodziewałem się, że pani tak szybko wróci. Pani Cantrell chyba już śpi o tej porze.

Riley pochyliła się do niego.

- Nie przyszłam do Winnie. Obiecałam Hattie, że przed snem wpuszczę krople do oczu jej pieska. Bała się, że zapomni, a nie chce, aby wszyscy wiedzieli, że ma kłopoty z pamięcią. Hattie jest taka czuła na punkcie swojej sprawności...

Tommy uśmiechnął się szeroko i łobuzerko mrugnął okiem.

- Sam jestem już w takim wieku, że też zaczynam zwracać na to większą uwagę. Mam zadzwonić do pani Silverman, aby uprzedzić ją, że pani przyszła?

Riley pokręciła głową i skierowała się do windy.

- Nie. Jeśli już śpi, to nie będę jej budzić. Wejdziemy tylko na parę sekund i już nas nie ma.

Jack milczał do chwili, kiedy zamknęły się za nimi drzwi kabiny.

- To było sprytne. - Riley może miała niewinne spojrzenie, lecz okazała się zręczną kłamczuchą. Postanowił to sobie zapamiętać.

- Nie lubię kłamać - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Za każdym razem mam wrażenie, że nos mi się wydłuża o całe kilometry.

Uśmiechnął się mimo woli.

- Kłamiesz jak z nut - zauważył.

Z jej oczu zniknął ślad rozbawienia. Nie zdążył jednak zapytać o nic więcej, bo w tej samej chwili winda stanęła na piętrze i rozległ się cichy syk rozsuwanych drzwi. Riley poszła w głąb korytarza. Dogonił ją w momencie, gdy wchodziła do mieszkania Hattie.

- Możesz mnie trochę wtajemniczyć w swoje przemysłne plany?

Odwróciła się do niego.

- Przeszukiwałaś już mieszkania?

Znacząco poruszył brwiami.

- Mam w tym nieco doświadczenia.

- Podrzucę broszkę do sypialni Hattie. Ty przez ten czas rozejrzyj się po pokojach i sprawdź, czy nie znajdziesz jakichś skradzionych rzeczy.

Jack nagle uświadomił sobie, że niczego, co w ten sposób znajdą, nie będzie można przedstawić jako dowodu na rozprawie. Z drugiej strony, był niemal pewien, że tutaj nic nie ma. Zamknął za sobą drzwi i poczuł, że drobne ząbki wbijają mu się w kostkę.

- A niech to szlag! - jęknął.

Usłyszał ciche warczenie, a potem coś go ugryzło w drugą nogę.

- Coś mnie gryzie! - wysapał i przesunął ręką po ścianie, szukając kontaktu. Zapalił światło.

Był to Baby, skulony i gotów do następnego ataku. Jack odskoczył i niechcący mocniej stanął na zranionej nodze.

- Zabierz go stąd - mruknął. Poczuł, jak kolano się pod nim ugina. Uderzył ramieniem w ścianę.

Riley klęknęła na podłodze.

- Baby... To tylko ja. I Jack.

Baby szczechnął, odbiegł kilka kroków, zawrócił w miejscu i znów zaszarżował.

- Ciiicho... - Riley wyciągnęła do niego rękę. Zatrzymał się, nerwowo obwąchał jej palce, pobiegł dalej i zaczął szczekać na Jacka.

W drugim pokoju błysnęło światło. Laska stuknęła o podłogę.

- Co tam się dzieje, Baby? Kto przyszedł? To ty, Rocky? Odpowiedz!

Na głos swojej pani pies odbiegł w głąb mieszkania.

- Rocky? Uważaj, bandyto. Mam broń.

Jack usłyszał charakterystyczny trzask odwodzonego kurka.

- Ona nie żartuje. - Sięgnął za siebie, otworzył jakieś drzwi, złapał Riley za ramię i wciągnął ją za sobą. Laska zastukała bliżej. Baby wyskoczył z ujadaniem, pośliznął się na posadzce, nie zdążył wyhamować i uderzył w ścianę. Zerwał się zaraz i znów zaczął szczekać.

- Znikamy stąd - oznajmił Jack, zamknął drzwi i odwrócił się, gotów do ucieczki. Dopiero teraz zauważył, że siedzą w przestronnej szafie. Baby wciąż szczekał. Łupnął w drzwi i zaczął drapać. Stukot laski rozlegał się coraz głośniejsze.

- Prędko! - Jack rozgarnął ubrania i przedarł się pod tylną ścianę szafy. Na podłodze stały rozmaite, wielkie i małe pudła. W końcu znalazł odrobinę miejsca, żeby swobodnie stanąć.

- Nic ci nie jest? - szepnęła Riley.

Usłyszał ją tylko dlatego, że stanęła na jakimś pudełku i jej usta znalazły się na wysokości jego ucha. Była tak blisko, że jej policzek dotykał jego policzka. Jack zacisnął powieki i starał się o tym nie myśleć.

- Zaraz kichnę - wyszeptała.

Odwrócił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem. Nie kichnęła i nie zaprotestowała. Odwrotnie, przysunęła się jeszcze bliżej, jakby tylko na to czekała. Była słodka. Jack czuł dotyk jej pełnych piersi. Przestań, powtarzał

sobie w myślach, ale niewiele to pomagało. Stała tuż przy nim, tak blisko, że wyczuwał bicie jej serca.

Hattie otworzyła drzwi szafy i głośne szczekanie wyrwało Jacka ze świata cudownych marzeń. Przypomniał sobie zniszczenia, jakich ładunek śrutu może dokonać w ludzkim ciele. Przesunął się przed Riley, żeby ją sobą zasłonić.

- Cicho, Baby! Cicho, mówię!

Pies szczeknął raz jeszcze i pisnął o wiele ciszej.

- Przecież widzisz, że tu nikogo nie ma. Gdzie by się miał schować? Tu są stare ubrania i listy, które Rocky przysyłał mi z więzienia. Nawet ty nie możesz się wcisnąć do środka. Chodź już.

Baby znów pisnął.

- Przestań jęczeć i wracaj do łóżeczka. Muszę się przespać. Ostatnio zdarza mi się, że nie pamiętam, jak się nazywam. Przyjdzie czas, że i o tobie też zapomnę.

Trzasnęły zamykane drzwi.

Jack westchnął z ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech. W oddali cichło stukanie laski. Jack powoli policzył do dziesięciu i dopiero wtedy przystąpił do działania.

- Idziemy - szepnął do Riley. Po cichu wypełzli z szafy. Przedpokój był zupełnie pusty, lecz w ciemnościach usłyszeli skrobanie psich pazurów po podłodze. Zanim Baby znów zaczął szczekać, Jack wyciągnął dziewczynę na korytarz i starannie zamknął za sobą drzwi wejściowe.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki bezpiecznie nie dotarli do windy. Zresztą, o czym tu gadać? - ze złością pomyślał Jack. Jak można być takim głupim! Tuż koło siebie usłyszał śmiech Riley. Popatrzył na nią.

- Przepraszam... - jęknęła. - Już nie mogę...

Roześmiała się na całe gardło, aż łzy stanęły jej w oczach.

Jack zmarszczył czoło. Co w tym takiego śmiesznego?

- Myślisz, że to zabawne?

- Zapomniałam, że Hattie ma strzelbę!

- Wiedziałaś?!

Riley głęboko zaczerpnęła tchu i oparła się plecami o ścianę kabiny.

- Od dawna wisi nad jej łóżkiem. Ale jest nie nabita. W całym domu nie znajdziesz amunicji. Hattie uważa się za pacyfistkę.

- Wykiwała nas - warknął Jack, lecz śmiech Riley był tak zaraźliwy, że w końcu sam zachichotał. - To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego nie sięgnęłaś po swój pistolet z octem.

Teraz już śmieli się na dobre. Wciąż chichocząc, minęli Tommy'ego i uciekli.

- To miłe, że Rocky ciągle do mej pisał przez te wszystkie lata... - zaczęła Riley i urwała nagle.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Broszka. Muszę tam wrócić.

- Nie ma mowy - zaprotestował Jack. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. - Strzelba może być nie nabita, ale Baby ma ostre zęby!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstawał świt. Przez kuchenne okno Jack widział powoli jaśniejące niebo. Miał nadzieję, że nowy dzień pozwoli mu pozbierać myśli. Spędził niespokojną noc, to budząc się, to znów zasypiając. Dawne koszmary odeszły w niepamięć, zastąpione dziwnymi marzeniami, w których główną rolę odgrywały Riley i ciasna szafa w przedpokoju u Hattie Silverman.

Starał się myśleć o czymś innym, ale nie bardzo mu to wychodziło. Od powrotu do domu żadne z nich nie wspomniało o „incydencie” w szafie. Riley powiedziała mu krótko „dobranoc” i poszła do swojej sypialni. On zrobił to samo, lecz o trzeciej rano porzucił wszelką nadzieję, że uda mu się wyspać. Zrobił więc to, co zamierzał zrobić od samego początku - przeszukał mieszkanie.

Nie znalazł żadnych skradzionych rzeczy, ale dowiedział się wiele o Fosterach. Avery był chomikiem. Zbierał wszystko: stare programy teatralne, listy od wielbicieli, wycinki z gazet i miłosne wyznania licznych kochanek.

Ben miał hopla na punkcie filmów. Zgromadził pokaźny zbiór kaset wideo, a na ścianach w swoim pokoju pozawieszał kartki z rozpisany szkicem jakiegoś scenariusza.

Jack ziewnął szeroko i popatrzył na rąbek słońca, widoczny już ponad horyzontem. Zwykle lubił tę porę dnia. Teraz jednak przede wszystkim musiał się napić kawy.

Z niechęcią zerknął na czajnik. Woda gotowała się stanowczo zbyt wolno. Kiedy będzie ta kawa?!

Riley nie była zaskoczeniem. W życiu codziennym okazała się równie pedantyczna, jak w pracy. Nad biurkiem w bibliotece wisiał plan miasta z zaznaczonymi domami klientów i głównymi trasami spacerów, przewidzianymi dla czworonogów. W dwóch plecakach, leżących obok biurka, znalazł dokładnie to samo: notatniki z adresami, plastikowe torebki z karmą, klucze i sikawki. Księga rachunkowa była prowadzona z niezwykłą starannością. Fosterowie żyli z tego, co udawało się im zarobić. Riley odkładała niewielkie sumy na naukę Bena, lecz poza tym żadne z nich nie robiło choćby najmniejszych inwestycji ani nie miało oszczędności.

Jack zaparzył kawę i z cichym westchnieniem oparł się o kredens. Zupełne fiasko. Ani nie znalazł skradzionej biżuterii, ani nie wiedział, co ze sobą począć. Podniósł kubek do ust. Wprawdzie oparzył język pierwszym łykiem kawy, lecz to przynajmniej pozwoliło mu odzyskać jasność umysłu.

Nie wolno mu było kochać Riley Foster. Nie mógł sobie na to pozwolić. Po pierwsze, powinien się zająć pracą. Po drugie, panna Riley nie była zwykłą dziewczyną, skorą do flirtu. Szukała w życiu czegoś więcej.

Poczuł, że coś go trąca w pogryzioną kostkę, skrzywił się i popatrzył w dół. Napotkał czujne spojrzenie kocich oczu.

- Uważaj, Abra. To w tę nogę zatopił kły groźny Baby.

Zupełnie nowy i oddzielny problem stanowiła Hattie. Nie miał najmniejszej szansy, żeby dokładnie przeszukać jej mieszkanie. A jak inaczej zdobyć potrzebne dowody? Postanowił sobie, że w najbliższym czasie musi wpaść na posterunek i dowiedzieć się czegoś więcej o niejakim Louisie Skale Mancuso.

Abra znów otarła się o jego nogę.

- Au! Mówiłem ci, że to mnie boli!

- Powinieneś... iść do lekarza - zamruczała zaspana Riley, przyglądając mu się spod wpół przymkniętych powiek. Przed chwilą weszła do kuchni. - Lepiej... uff -jęknęła nagle, bo uderzyła biodrem o blat stołu. - Lepiej niech to ktoś obejrzy.

- Mówiłem ci już, że nic mi nie będzie. Dwa miesiące temu dostałem serię zastrzyków przeciwtężcowych. A poza tym nafaszerowali mnie różnymi lekarstwami.

Riley była już ubrana w dżinsy, podkoszulek i niebieską kurtkę. Ledwo jednak patrzyła na oczy i chwiała się przy każdym kroku.

- Kawy - mruknęła. Wyciągnęła ręce i niemal po omacku sięgnęła po kubek.

Jack pomógł jej w tych poszukiwaniach.

- Raczej nie jesteś rannym ptaszkiem, prawda?

- Nie. - Riley wypła łyk i jednym okiem popatrzyła na Jacka. - W przeciwieństwie do ciebie.

Abra miauknęła głośno. Jack spojrzał na nią.

- Dlaczego leży na grzbiecie i macha łapą w powietrzu? Co jest?

Riley zerknęła pod stół.

- Chce, żebyś ją podrapał. Kiedy tak się układa, to dowód zaufania. Uważa cię za swoją własność.

- Nie ma mowy - odparł Jack, lecz przykucnął i podrapał kotkę po brzuchu. - Koty są wyjątkowo głupie.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Riley, podchodząc do lodówki. - Ich iloraz inteligencji jest niższy tylko od kapucynek i szympansów.

Otworzyła zamrażalnik, wyjęła kostkę lodu i wrzuciła ją do kubka. Kilka kropel gorącej kawy chlapnęło jej na rękę.

- Au!

- Wiesz co? Idź lepiej z powrotem do łóżka.

- Nie mogę. - Wypiła kolejny łyk i udało jej się otworzyć drugie oko. -

W każdy sobotni poranek mam najwięcej pracy. Aż pięć psów muszę wyprowadzić na spacer i... - Z cichym westchnieniem ulokowała się na stołku. -I czeka mnie jeszcze dzisiaj spotkanie z budowlańcem.

- Z jakim znowu budowlańcem?

- Ma zerknąć na pomieszczenia, które wynajęłam na potrzeby Foster Care, i zrobić kosztorys.

- A co potem? - zapytał Jack.

- Przeczytam to i się rozplaczę - odpowiedziała Riley, krzywiąc się. - Później obetrę łzy, usiądę z kartką w rękę i obliczę, ilu klientów mi potrzeba, żeby mu zacząć płacić.

- Nie możesz zaciągnąć pożyczki?

- Próbowałam. Nikt w banku nie chce gadać z dziewczyną, która nie ma żadnego doświadczenia w interesach.

- A u klientów?

- Nie - odpowiedziała twardo. - Jeżeli mi się nie powiedzie, to tylko ja na tym stracę. Nie roztrwonię pieniędzy przyjaciół.

Jack przyglądał jej się przez chwilę. Riley zwróciła głowę w jego stronę, ale wciąż miała trudności z mówieniem i patrzeniem.

- Chcesz śniadanie? Jajecznice... albo coś takiego? Znacząco poruszył brwiami.

- Od ciebie? Raczej nie, dziękuję.

- Bardzo śmieszne. - Wstała od stołu i wyciągnęła kubek w stronę Jacka, żeby jej dolał kawy.

Promień słońca zamigotał w jej włosach. Wyglądała naprawdę prześlicznie. Zaspana i kusząca... Jack odstawił czajnik i wsunął ręce do kieszeni. Najwyższa pora, żeby wyjaśnić sobie parę rzeczy, pomyślał.

- Chciałbym na chwilę wrócić do tego, co wydarzyło się zeszłej nocy...
- zaczął.

Riley gwałtownie zamrugła powiekami.

- Zeszłej nocy? - powtórzyła. - Aaa... prawda. Zapomniałam. Musimy podzucić broszkę.

- Nie - sprzeciwił się Jack.

- W ogóle niczym się nie przejmuj - wpadła mu w słowo Riley. - Tym razem pójdę sama. Nie mam pewności, czy Baby znów cię nie ugryzie. Zwykle jest bardzo grzeczny. Lubi mnie.

- Nie w tym rzecz - przerwał jej. - Chodzi mi o to, co się stało w szafie.

- Ach...

Jack spojrzał jej prosto w oczy i poczuł się bardzo dziwnie.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała.

- W jakim sensie?

- Nie powinienem cię całować.

Popatrzyła na niego odrobinę przytomniej. Wbrew woli zerknął na jej usta. Były leciutko rozchylone i wilgotne... Gdybym ją teraz pocałował, pewnie bym poczuł smak świeżej kawy, pomyślał. Zdziwił go gwałtowny przypływ pożądania. Riley podeszła parę kroków bliżej i położyła mu rękę na piersi. Abra zamiauczała. Jack cofnął się aż pod kredens.

- Nie.

Przez twarz Riley przemknął cień smutku. Szybko spuściła powieki. Tak będzie dla nas najlepiej, z bólem pomyślał Jack. Aby ukryć swoje zmieszanie, pochylił się i podniósł Abre z podłogi.

- Posłuchaj, Riley... Mam do wykonania pewne ważne zadanie. Powinienem jak najszybciej wracać do pracy. Tobie też nie brakuje zajęć. Będzie lepiej, jak w miarę szybko wyjaśnimy sprawę kradzieży i unikniemy zbędnych komplikacji.

- Tak... oczywiście - odparła. - Masz rację.

Cholera! Widać było wyraźnie, że się zdenerwowała. Drżącą ręką odstawiła kubek na stół. Jack miał wrażenie, że kopnął małe bezbronne zwierzątko. Abra polizała go po rękę. Sprawilo mu to niewielką ulgę.

- W szafce znajdziesz płatki kukurydziane - powiedziała Riley i odeszła.

Pobiegł za nią, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić. Złapał ją za rękę.

- Riley... To wszystko wyszło nie tak, jak naprawdę chciałem...

Popatrzyła na niego zupełnie przytomnie i buńczucznie uniosła głowę.

- Wyraziłeś się nadzwyczaj jasno. Ale teraz mnie nie dotykaj. Kiedy to robisz, nie potrafię zmusić się do rozsądku.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Po chwili rozległo się walenie. Riley wyszła do przedpokoju.

- A to kto?

Znów rozległ się dźwięk dzwonka.

- Otwierać. Policja.

Jack przepchnął się obok Riley, otworzył drzwi i zobaczył Alexandrę Markham, Carmichaela i dwóch policjantów. Alexandra popatrzyła na niego i uśmiechnęła się z lekką drwiną, widząc, że jest boso. Potem spojrzała ostro na Riley.

- Obudziliśmy was?

- Masz nakaz - powiedział Jack. Nie zabrzmiało to jak pytanie. Wystarczył mu jeden rzut oka na Alexandrę, aby wiedzieć, że mają odpowiedni papier. Carmichael wyjął nakaz z kieszeni i pokazał go w wyciągniętej ręce.

Jack jeszcze nie wpuścił ich do środka. Starannie przeczytał nakaz.

- Kapitan Duffy wie o tym?

- Sam o to wystąpił - odparła Alex. - Możemy już przystąpić do przeszukania?

Jack dał krok w bok. Przytrzymał Riley za rękę. Policyjny korowód pomaszerował w głąb mieszkania.

- Gdzie masz broszkę Hattie? - cicho zapytał Jack. Riley poklepała się po kieszeni kurtki.

- Tam, gdzie ją wczoraj włożyłam.

Jack zręcznym ruchem wyłuskał broszkę, rozpiął dzinsy i schował ją pod suwakiem.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła Riley.

- Tutaj nikt nie będzie mnie obmacywał.

- Po co to robisz? - zapytała. - Jeśli ją znajdą, twoje zadanie dobiegnie końca. Będziesz mógł wrócić do pracy.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Owszem. Ale nie podoba mi się to najście.

Riley zacisnęła dłonie.

- O tej porze powinnam być już u Zimmermanów. Jak myślisz, ile to potrwa?

- Około dwóch godzin. - Zabrał ją do kuchni i nalał jej kawy. Dopiero teraz zauważył, że jest bardzo blada. Posadził ją na stolku. - Tylko nie zemdlej.

- Nie zemdleję. Co będzie z Benem i stryjem, jak mnie aresztują? Kto się zajmie tymi wszystkimi zwierzętami?

Jack lekko ścisnął ją za rękę.

- Nic się nie martw. Niczego tu nie znajdą.

- Skąd ta pewność? - spytała Alexandra, stając w drzwiach kuchni.

- Z doświadczenia - odparł Jack.

Puścił rękę Riley i odwrócił się do koleżanki. - Sam przeszukałem to mieszkanie. A teraz chciałbym się dowiedzieć, co wy, do diabła, wyprawiacie?

Zerknęła na niego spod oka.

- Nie wiesz? To się nazywa rewizja.

- Panna Foster zgodziła się na współpracę, pod warunkiem, że przestaniecie ją nachodzić. Duffy dał na to swoje słowo.

- Wczoraj w nocy dokonano kolejnej kradzieży - oznajmiła Alexandra.

- Gdzie? - spytała Riley.

- W tym budynku, dwa piętra niżej. - Alex wyjęła notes i przerzuciła kilka kartek. - W mieszkaniu państwa Abernathy. Byli w teatrze. Wyszli o wpół do ósmej i wrócili krótko przed północą.

Jack spojrzał na Riley. Zacisnęła dłonie na kubku tak mocno, aż jej pobielały palce.

- Zeznali, że bardzo często, pod ich nieobecność, wyprowadzała pani ich psa na spacer. Czy to prawda? - dopytywała się Alexandra.

- Tak - odpowiedziała Riley.

- Była pani wczoraj wieczorem w ich mieszkaniu?

- Nie.

Alexandra podeszła bliżej, podsunęła sobie wolny stołek i usiadła.

- Co pani robiła wczoraj wieczorem pomiędzy wpół do ósmej i północą?

- Do dziesiątej byłam tutaj, w mieszkaniu. Potem wyszłam na chwilę. - Riley rozdygotaną dłonią odstawiła kubek.

Alexandra zapisała coś w notesie.

- Dokąd pani wychodziła?

- Ja... - Riley spojrzała szybko na Jacka i dokończyła: - Wyszliśmy razem z obecnym tutaj inspektorem DeRosą.

Wzrok Alexandry powędrował w stronę milczącego Jacka.

- To prawda?

- Tak - odparł. - Pracuję u panny Foster jako jej pomocnik. Wybraliśmy się do klientki w budynku, w którym mieszka pani Cantrell. Odwiedzaliśmy jedną z klientek. Możesz to sprawdzić u portiera. Wróciliśmy koło północy i panna Foster udała się na spoczynek.

- A wcześniej? Też byliście razem?

Jack zmarszczył brwi.

- Zdrzemnąłem się na pół godziny.

Alexandra wróciła do rozmowy z Riley.

- Miała więc pani dostatecznie wiele czasu, żeby zejść dwa piętra w dół i zabrać biżuterię.

- Nie byłam w tamtym mieszkaniu.

- Co skradziono? - wtrącił Jack. Policjantka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Brylantowy naszyjnik i kolczyki. Pani Abernathy w ostatniej chwili odłożyła to na toaletkę, bo naszyjnik miał popsuty zamek. Wystarczyło kilka sekund, aby schować łup do kieszeni.

- Niczego nie ukradłam - z uporem powtórzyła Riley. Alexandra spojrzała na nią.

- Zdjęliśmy odciski palców. Weźmiemy również pani odciski do porównania.

- Wcale nie musisz się na to zgodzić - szybko powiedział Jack.

Wyraźnie wściekła Alex odwróciła się w jego stronę.

- Możemy chwilę pogadać na osobności?

- Proszę bardzo. - Wyszedł do przedpokoju.

Alexandra zniżyła głos do szeptu, choć przyszło jej to z trudem.

- Przeszkadzasz mi w dochodzeniu, Jack. Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Próbuję ci zaoszczędzić czasu. Przecież dobrze wiesz, że z różnych powodów odciski palców Riley są w tamtym mieszkaniu. Cwany prawnik obali takie dowody już podczas wstępnego przesłuchania.

- Nie wszyscy prawnicy są cwani. Po czyjej stronie?

- Tak samo jak ty chcę złapać złodzieja. Brakuje nam jednak dowodów. Jeśli za wcześnie aresztujesz Riley, to prawdziwy sprawca lub sprawcy na pewno ci uciekną.

- Wiesz, co myślę? - Obrzuciła go nadąsanym spojrzeniem. - Za bardzo się w to angażujesz.

Rozległo się głośnie szczekanie. Zadudniły szybkie kroki i w przedpokoju pojawił się jeden z mundurowych.

- Mamy kłopot, pani inspektor. Otworzyliśmy drzwi sypialni i jakiś zwierzak rzucił się na Carmichaela.

- Pies... zaatakował Carmichaela? - zapytała Alex.

- Beowulf nikomu nie zrobi żadnej krzywdy - oświadczyła Riley, która w tej samej chwili też weszła do przedpokoju.

- Nie - odparł policjant. - Pies zaczął szczekać później. Jakiś ptak krzyknął na Carmichaela, żeby natychmiast się wynosił.

Riley poszła do sypialni. Policjant dreptał tuż za nią. Beowulf, szczekając głośno, trzymał w szachu pod ścianą dwóch pozostałych uczestników zajścia.

- Beowulf - spokojnie powiedziała Riley. Pies umilkł natychmiast i posłusznie stanął przy jej nodze.

- Precz, przeklęta plamo! - rozległ się skrzek Barda. - Precz, mówię!

- O, właśnie - jęknął policjant. - To gada... Carmichael oderwał się od ściany.

- Frunęło mi prosto w twarz.

Jack z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Zauważył, że Riley wzięła głęboki oddech. Szybko odwrócił głowę.

Abra prychnęła głośno. Beowulf pisnął i ułożył się na podłodze.

- Precz, przeklęta plamo! - zapiał Bard.

- Co tu się dzieje? - spytała Alexandra, ale nie odważyła się wejść do pokoju.

- To papuga - z wyraźnym obrzydzeniem mruknął Carmichael. - Trafiliśmy do zwierzyńca. Ten cholerny ptak nie pozwala mi spokojnie pracować.

Jack z uporem nie patrzył na Riley.

- Pomóż mi przenieść zwierzęta do kuchni, dobrze? - powiedział. - Potem pomogę wam przy rewizji - dodał, już pod adresem Alexandry.

Minęło pół godziny. Riley niespokojnie krążyła po kuchni, śledzona przez trzy pary zwierzęcych oczu. Przecież policja nic nie znajdzie, powtarzała w myślach. Mimo to nie potrafiła zapanować nad zdenerwowaniem. Przez kilkanaście minut dzwoniła do klientów,

uprzedzając, że się trochę spóźni. Zaparzyła świeżą kawę. Co chwila z niepokojem patrzyła na telefon. Chciała zadzwonić do Jeffa i porozmawiać z Benem. Ale przecież w tej sytuacji nie mogła powiedzieć mu wszystkiego...

Jak miała spytać, czy zeszłej nocy był w mieszkaniu państwa Abernathy?

Aż podskoczyła, kiedy nagle rozległ się głośny terkot. Dopiero po pół sekundzie zdała sobie sprawę, co się dzieje. Przycisnęła rękę do piersi, żeby uspokoić oddech, i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Wszystko w porządku? - zapytała Winnie.

- Ze mną tak, ale jest tu policja. Mają nakaz rewizji.

- Wiem. Przed chwilą rozmawiałam z komisarzem. Jedziemy do ciebie taksówką.

- "My"... to znaczy kto? - spytała Riley.

- Hattie, Gert, Prune i ja.

- To chyba nie najlepszy pomysł, Winnie... - zaczęła.

- Słyszałam od chrześniaka, że była następna kradzież. U kogo?

- U państwa Abernathy. Mieszkają dwa piętra pode mną. Obrabowano ich wczoraj wieczorem, pomiędzy wpół do ósmej a wpół do dwunastej.

- Udało ci się zrobić to, o czym wczoraj rozmawialiśmy? - zagadnęła Winnie.

- To? - powtórzyła Riley.

- Przecież ci mówię, że wszystkie jesteśmy w taksówce. Pamiętasz naszą rozmowę?

Riley po chwili zrozumiała, że chodzi o broszkę Hattie, i ciężko westchnęła.

- Nie zdołaliśmy jej podzucić - odparła.

- My? - zainteresowała się Winnie.

- Jack był ze mną. On... ja... - Riley gorączkowo szukała jakiegoś wyjaśnienia, tłumaczącego, skąd DeRosa dowiedział się o broszce. Przecież nie mogła się wygadać, że był policjantem. Musiała coś wymyślić.

- Cieszę się, moja droga, że masz do niego pełne zaufanie. Na pewno na to zasługuje.

Rzeczywiście, w duchu przyznała Riley. Znała Jacka dopiero od niespełna dwudziestu czterech godziny, a już wiedziała, że może na nim polegać.

- Czyli nic dobrego nie wyszło z naszych wspólnych planów? - spytała Winnie.

- Nie. Baby ugryzł Jacka w nogę i...

- Nic mu się nie stało? Musisz mi wszystko opowiedzieć. Zgoda?

Riley spojrzała na zegarek. Kiedy ostatni raz wyjrzała z kuchni, dwaj mundurowi byli w pokoju stryja, Carmichael u Bena, a Jack i inspektor Markham — w bibliotece. Przeglądali każdą książkę. Na razie więc nie miała zupełnie nic do roboty. Usiadła i opowiedziała Winnie o wszystkim, Co się wydarzyło w mieszkaniu Hattie Silverman. Doszła do miejsca, w którym usłyszeli szczęk odwodzonego kurka i zdała sobie sprawę, że ktoś właśnie wszedł do kuchni. Nie musiała odwracać głowy, żeby wiedzieć, kto to. Jack. Stał oparty o framugę, wielki i milczący.

- Schowaliśmy się w szafie - rzuciła do słuchawki. Szybko zdała relację z późniejszych wydarzeń, pomijając tylko sam moment pocałunku. Cóż jednak z tego, że to przemilczała, skoro pamiętała każdą chwilę...

- Muszę już kończyć, Winnie - powiedziała.

- Gdzie to masz? - usłyszała w słuchawce. - Policja nic nie znajdzie?

- Nie. Jack... - głos zamarł jej w gardle i mimowolnie spojrzała w to miejsce, w którym DeRosa ukrył brylantową broszkę. - Wziął ją... To znaczy, schował...

Jack podszedł bliżej. Riley jakby z ogromnej dali słyszała głos Winnie. Pociemniało jej przed oczami. Nawet nie zaprotestowała, kiedy Jack wyjął jej słuchawkę z dłoni. Bezradnie wbiła wzrok w podłogę. Minęło kilka długich sekund, zanim odzyskała ostrość widzenia i zobaczyła czarno-białą terakotę.

Jack roześmiał się na całe gardło.

- Tak, to prawda. Właśnie tam ją schowałem - powiedział do słuchawki.

Przecudownie, pomyślała Riley. Oni tu się dobrze bawią, a ja mam zawroty głowy. Próbowwała się jakoś pozbierać. Niemal w tej samej chwili zza ściany dobiegły podniesione głosy. Nad wszystko wybijały się okrzyki stryja Avery'ego:

- Kim pani jest i dlaczego szpera pani w mojej bibliotece? Co to znaczy?

Riley nie usłyszała odpowiedzi Alexandry. Stryj chyba zresztą nawet na nią nie czekał. Nagle w przedpokoju rozległ się głośny łoskot. Sprawcą hałasu okazał się Ben, który z tupotem wpadł do kuchni.

- Co się dzieje? - spytał beztroskim tonem. Rzucił plecak na stół i skierował się do lodówki. - Cześć, Jack - rzucił od niechcienia.

- Policja robi rewizję.

- Serio? To ekstra. Nie będzie im przeszkadzać, jak popatrzę?

- Sam się ich spytaj - odpowiedziała Riley znużonym tonem i przymknęła oczy.

Następny był Avery. W progu zrobił dramatyczną pauzę i wycelował palcem w dziewczynę.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie posłuchała i wynajęła adwokata.

- Zjawili się z nakazem, stryju. Żaden adwokat tu nie pomoże.

- Nie mamy już mrożonej pizzy? - jęknął Ben. - Głodny jestem jak diabli.

Riley spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Mama Jeffa nie dała wam śniadania?

- Co takiego? Aaa... dała. Ale to było całe wieki temu.

Avery opuścił swoje stanowisko i wszedł do kuchni.

Tuż za nim pojawiły się Winnie, Gert, Prune i Hattie.

- Przyniosłyśmy ciasteczka - powiedziała Winnie, stawiając koszyk na stole.

- Super! - ucieszył się Ben.

- Muszę usiąść - oznajmiła Hattie i laską utorowała sobie drogę do najbliższego krzesła. Niemal upadła, lecz Jack zdołał ją w porę podtrzymać.

- Policjanci mnie denerwują - powiedziała słabym głosem.

- Nie zwracajmy na nich uwagi - uśmiechnęła się Prane. Wzięła Bena pod rękę. - Póki pan jest z nami, nie mamy się czego obawiać. Prawda, panie DeRosa? Pan, taki silny mężczyzna...

- Jestem Ben - sprostował chłopak. - Pan DeRosa stoi w tamtym kącie.

Gert łokciem trąciła siostrę.

- Za młody dla ciebie. Mówiłam ci, żebyś nie zdejmowała okularów!

Prune uśmiechnęła się znowu.

- Chłopcy nie przepadają za dziewczętami w okularach. Niestety.

- Święte słowa - ironicznie parsknęła Gert. - Skup się zatem i popatrz ze dwa metry w lewo. Hattie sprzątnęła ci sprzed nosa twojego pana DeRose.

- Moje panie! - zawołała Winnie. - Przyszliśmy tutaj przede wszystkim po to, aby wesprzeć Riley w potrzebie.

Riley mimochodem spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła Charlesa Cantrella.

- Charles! - Podeszła nieco bliżej. - A ty co tu robisz?

- Byłem właśnie u ciotki, gdy zadzwonił komisarz. Namówiłem ją, żeby tu przyjechała. Aresztowali cię?

- Nie. - Zauważyła zdumione miny brata i stryja, więc powtórzyła: - Nie. Nikt mnie nie aresztował i nie aresztuje. Niczego tutaj nie znajdują.

- Teraz przeszukamy to pomieszczenie - oznajmił Carmichael, który także zjawił się w kuchni.

- Precz, precz, przekłeta plamo! - zawołał Bard.

- O, właśnie - zawtórował mu stryj Avery.

- Mogę popatrzeć? - spytał Ben.

- Zaraz zemdleję - mruknęła Hattie i zamknęła oczy. Beowulf poderwał się i zaczął głośno szczekać.

- Dosyć tego - zdenerwował się Carmichael. - Panno Foster! Proszę usunąć stąd to zoo i wszystkich obecnych. Daję pani pięć minut.

- Jakim prawem chce pan mnie wyrzucić z mojej własnej kuchni, zanim sobie przyrządzą kawę?! - zawołał za nim Avery.

Riley wzięła go pod rękę i wyprowadziła za drzwi.

- Idź grzecznie do salonu, dobrze? Zaparzę kawę i zaraz przyniosę.

- Skoro nalegasz... - westchnął z bólem.

- Nalegam. - Cmoknęła go w policzek i wróciła do kuchni. Jack i Charles pomagali podnieść się słabującej Hattie. - Proszę cię, Winnie, zanieś ciasteczka do salonu. Gert i Prune... weźcie klatkę Barda. Ben, ty zajmiesz się Beowulfem.

- Oczywiście. - Chłopak pochylił się nad psem. - Chodź, stary. Tam jest żarcie.

Po dziesięciu minutach wielkiego rozgardiaszu Riley weszła do kuchni i znalazła tam już tylko Bena. Stał tyłem do niej i rozmawiał przez telefon.

- Poszło nam super zeszłej nocy. Tak, wiem... Jeszcze parę takich okazji i już będziemy ustawieni.

Odwrócił się, spojrzał na siostrę i coś jakby poczucie winy zabłysło w jego oczach.

- Muszę kończyć - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Riley. - Co ci się przydarzyło w nocy? Ben zachowywał się już całkiem normalnie.

- Mówiliśmy, o matmie. Nieźle nam idzie. Nie boję się egzaminów.

Nie bardzo mu wierzyła. Nie miała jednak czasu na dłuższe rozmowy. A może bała się usłyszeć prawdę? Wzięła ze stołu tacę z kawą, odwróciła się w stronę drzwi... i prawie wpadła na Jacka.

- Zapomniałaś o czymś - powiedział. Odebrał jej tacę i postawił ją z powrotem na stole. - Zawsze wrzucasz do kawy parę kostek lodu.

Włożył rękę do zamrażalnika - i zamiast pojemnika z lodem wyjął stamtąd małą foliową torebkę. Riley patrzyła na to, nie wierząc własnym oczom. W głowie szumiało jej od natłoku myśli. W takie same torebki pakowała kanapki dla Bena. Nie było jej tam, kiedy rano otwierała zamrażalnik. Serce zamarło jej ze zgrozy. Jack podstawił otwartą dłoń i

wysypał zawartość torebki. W blasku słońca zamigotały najczystsze brylanty.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Riley? - Była tak blada, że zląkł się, iż znów zemdleje. Dopadł do niej i szarpnął za ramię. Wskazał na stołek.

- Siadaj.

Potrząsnęła głową, jak obudzona ze snu, i wzięła głęboki oddech.

- Nic mi nie jest.

Nieprawda. Z przerażeniem patrzyła na garść brylantów błyszczących w dłoni Jacka.

- Skąd to się wzięło w lodówce?

- Nie wiesz?

- Nie.

Wyraźnie słyszał w jej głosie nutę strachu. Nie chciała mu powiedzieć całej prawdy. Podejrzewała kogoś... i bała się o tym mówić.

- Musisz... - Kątem oka zobaczył wchodzącą do kuchni Alexandrę. - Masz rację. Jak wrzucimy lód do tej torebki, to będzie mniej bałaganu.

Wyprostował się i ukradkowym ruchem wsunął brylanty do tylnej kieszeni spodni. Zerknął na Alexandrę.

- Powiedz Carmichaelowi, że może zaczynać. Teren czysty. Wszystkie groźne zwierzęta zostały usunięte.

- Po co ci lód? - spytała podejrzliwie.

- Riley zawsze dorzuca kilka kostek do kawy. - Odwrócił się, podszedł do lodówki i napełnił torebkę.

- Mogę to sprawdzić? - mruknęła Alexandra.

- Oj, Alex... - z uśmiechem westchnął Jack i pokręcił głową. Alexandra uniosła torebkę do światła. - To, że się czasem sprzeczamy, wcale nie oznacza, że chowałbym przed tobą dowody rzeczowe.

- Zachowujesz się bardzo dziwnie - odparła. - To samo powiedziałam kilka minut temu w rozmowie z kapitanem. Zadzwoił do mnie na komórkę. Masz się z nim skontaktować. Wystarczy, że naciśniesz dwójkę.

- Tak jest - powiedział Jack i wziął z jej rąk telefon. Odwrócił się i zobaczył Riley, czekającą z tacą. Położył torebkę z lodem tuż obok jej kubka.

- Chciałabym na to zerknąć! - zawołała Alexandra. Uniosła każdy kubek i w każdym zamieszała łyżeczką. Zajrzała nawet do cukiernicy. - Dziękuję. Może to pani zanieść do salonu.

- Dobrych łowów - wycedził Jack.

- Co teraz zamierzasz zrobić? - szeptem zapytała pobladła nagle Riley.

- Zadzwoię do szefa.

- I co mu powiesz?

- Jeszcze nie wiem. - Otworzył drzwi wiodące do salonu. Wpuścił Riley do środka, a sam poszedł do biblioteki.

Co miał, do wszystkich diabłów, powiedzieć Duffy'e-mu? Kochany panie kapitanie, praktycznie mam, hm... w kieszeni wszystkie dowody. Proszę o natychmiastowy nakaz aresztowania.

Przetarł czoło i próbował pomyśleć spokojniej. A może jednak zdobyć się na szczerłość i tak od serca pomówić z kapitanem? Trzeba jak najszybciej przerwać tę farsę.

Wczoraj Riley miała świetną okazję, żeby skraść klejnoty z mieszkania państwa Abernathy. Może w tym celu go uśpiła? Cała wyprawa do Hattie była tylko sprytnie obmyślonym planem dla zamydlenia oczu.

Jack niespokojnie krążył po pokoju. Miał dowody, a jednak nie był do końca przekonany, że to Riley jest złodziejką. Instynkt podpowiadał mu, że to nie ona włożyła brylanty do lodówki. Usiadł na kanapie i z namysłem spojrział na telefon Alexandry.

Zawsze ufał swoim instyktom. Przecież nie tylko Riley miała swobodny dostęp do zamrażalnika. Pewnie sama podejrzewała Bena lub Avery'ego. Albo obu naraz.

Jack wcisnął klawisz oznaczony dwójką.

- Duffy, słucham.

- Markham powiedziała mi, że mam do pana zadzwonić, kapitanie.

- Skarżyła mi się, że przeszkadzasz w rewizji. Co ty, do diabła, sobie wyobrażasz?! - ryknął Duffy.

- Staram się jak najlepiej wypełnić zadanie, które sam mi pan przydzielił - odparł Jack.

- Twoim zadaniem jest jak najszybciej złapać winowajców! Dobrze by było, gdybyś przy okazji odzyskał skradzione łupy.

- Riley Foster niczego nie ukradła. Mam nowy ślad, który może ujawnić całą prawdę. To chyba dobrze?

- Kto to zrobił? - warknął Duffy.

- Tego jeszcze nie mogę zdradzić. Potrzebuję wyraźnych dowodów - powiedział Jack. - Pójdzie mi łatwiej, jeśli sprawca nie będzie wiedział, że jest pod obserwacją.

Nastąpiła chwila ciszy, przerwana jedynie trzaskiem zapalanej zapalniczki. Duffy na pewno sięgnął po cygaro. Jack nie wiedział, czy ma uważać to za dobry omen, czy za znak, że kapitanowi kończy się cierpliwość.

- Alexandra twierdzi, że zadurzyłeś się w tej Foster - mruknął wreszcie Duffy.

- Wścieka się, bo przekazał mi pan jej sprawę - odparł Jack.

- Masz dwadzieścia cztery godziny na dokończenie śledztwa - burknął kapitan.

- Świetnie - odpowiedział Jack. - Dziękuję.

Duffy odłożył słuchawkę. Jack spojrział na zegarek. Dziesiąta rano. Dwadzieścia cztery godziny to wprawdzie niewiele, ale więcej niż nic. Muszę lepiej przyłożyć się do dochodzenia, pomyślał i wyszedł z biblioteki. W przedpokoju usłyszał fragment rozmowy, prowadzonej za przymkniętymi drzwiami.

- Rozumiem, że musiałaś zatrudnić pracownika - mówił Charles Cantrell - ale dlaczego od razu wprowadził się do ciebie?

- Nie miał innego wyjścia.

- Zapraszasz do siebie bezdomnych? Nie boisz się?

- Jack nie jest bezdomny. Po prostu niedawno przyjechał do Nowego Jorku i jeszcze nie znalazł mieszkania. Gdyby było inaczej, nie dałabym mu pracy. Nie stać mnie na to.

- Wcale mi się nie podoba, jak na ciebie patrzy - powiedział Charles. - Powinienem wynająć jakiegoś detektywa, żeby na wszelki wypadek sprawdził jego przeszłość. Wspominałaś, że kapitan Duffy przyjaźnił się z jego ojcem?

- Charles... Dziękuję ci za szczerą troskę, ale zostaw Jacka w spokoju. W jego spojrzeniu nie ma nic groźnego.

- Wodzi za tobą zakochanym wzrokiem. Widzę to, bo sam cię kocham.

Jack stanął tuż za drzwiami i leciutko oparł rękę na klamce. Gdyby Charles posunął się za daleko...

- Przestań. Już mówiłam, bądźmy przyjaciółmi. Tylko to mogę ci zaproponować.

- Wolisz jego?

- Jacka? - Riley wybuchnęła śmiechem. - Nie. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby był gejem.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Żebyś wiedział, jak czule patrzą sobie w oczy ze stryjem...

- A niech mnie szlag trafi!

Dobry pomysł, warknął w duchu Jack. Miał ochotę kopnąć drzwi na oścież i wykrzyknąć prawdę o swoich upodobaniach. Nie zdążył, bo w tej samej chwili z salonu wymaszerowała niewielka procesja.

- Och, tu pan jest, panie DeRosa. - Prune uśmiechnęła się, patrząc gdzieś ponad jego głową.

- Przestań, Prune - zmitygowała ją Gert. - Musimy już iść.

- Zobaczymy się później? - nie dawała za wygraną jej siostra.

Gert pożegnała Jacka krótkim skinieniem głowy.

- Jedno z was na pewno coś zobaczy - mruknęła.

- Policja już pojechała? - spytała Hattie, idąca pod rękę z Winnie.

- Nie - odpowiedział Jack.

Czwórka pań wyszła na korytarz. Dołączył do nich Charles Cantrell. Jack obejrzał się i zobaczył za sobą Alexandrę. Wyciągnęła rękę po telefon.

- Dzwoniłeś do kapitana? - spytała.

- Dzwoniłem - odparł Jack.

Riley pojawiła się za plecami Alexandry.

- Co powiedział?

- Sama go zapytaj.

- Rewizja skończona? - odezwała się Riley.

- Tym razem tak - odparła Alexandra. Otworzyła drzwi i przystanęła w progu, czekając na Carmichaela i dwóch mundurowych. - Kiedyś jednak popełnisz błąd, Foster. A wtedy cię dopadnę.

Riley popatrzyła na zamykające się drzwi windy. Westchnęła z ulgą i odwróciła się do Jacka.

- Dziękuję.

- Musimy porozmawiać.

- Mam już trzy godziny spóźnienia, a za dwadzieścia minut przyjedzie ten facet z budowy, o którym ci wczoraj mówiłam...

W polu widzenia pojawił się stryj Avery z dużą tacą w rękach.

- Wiesz co? Jeden z przyjaciół Harolda jest wziętym prawnikiem. Nie kształcił się na adwokata, lecz mógłby cię polecić...

- Stryju, rozmawialiśmy o tym już tysiące razy... - zaczęła Riley, lecz to nic nie pomogło. Avery najwyraźniej wczuł się w swoją rolę i musiał skończyć. Gadał i gadał jak najęty.

- Zagłosujmy, zgoda? Mam poprosić Harolda, żeby zadzwonił do swojego kumpla? Ci, którzy się zgadzają, niech odpowiedzą „tak”.

- Tak - odezwał się Ben. - Kiedy Jeff miał kłopoty w szkole, jego mama przyszła z prawnikiem na rozmowę z dyrektorem.

Riley spojrzała na niego, a potem zerknęła na stryja.

- Wyczuwam w tym jakiś spisek. Avery zrobił niewinną minę.

- Rzeczywiście, masz dobrego nosa. Ja też głosuję „tak” i zamierzam bronić swoich racji. A ty co o tym sądzisz, Jack?

- Rozmowa z dobrym prawnikiem na pewno nie zaszkodzi.

- Uznaję to za „tak”. Trzy głosy za, jeden przeciw. Moja droga, zostałam przegłosowana. Jeszcze dzisiaj zadzwonię do Harolda, a teraz idę się zdrzemnąć.

- Ja też. - Ben odszedł w głąb mieszkania, lecz po chwili odwrócił głowę, jakby coś sobie przypomniął. - Dzisiaj robisz spaghetti?! - zawołał do Jacka.

- No pewnie.

- Ekstra.

- Podaj kolację trochę wcześniej - powiedział Avery - bo wieczorem znów idę do Harolda. Pracujemy nad trzecim aktem.

- Spiskują też przeciw tobie - mruknęła zgryźliwie Riley do Jacka.

- Często tak robią? - spytał.

- Częściej, niżbym chciała - odparta i spojrzała na zegarek. - Spóźnię się.

- Riley, musimy...

- Porozmawiać. Wiem. Ale facet nie będzie czekał. Porozmawiamy później.

- Albo po drodze.

- Nie! Musisz przejąć część moich obowiązków. Idź do porannych klientów.

Pobiegła do biblioteki i przyniosła stamtąd najbliższej leżący plecak. Wyjęła z niego notatnik.

- Tu masz wszystko: sobotni dyżur, nazwiska, adresy, telefony, imiona zwierząt i tak dalej... Dzwoniłam do nich, uprzedzając, że będziesz trochę później. Zajmij się tym, a ja zmienię cię po południu.

Jack spojrzał na spis.

- Wszyscy mieszkają w tym samym domu co Winnie Cantrell, prawda?

- Tak. Park masz po drugiej stronie ulicy.

- Jeszcze jedno. - Jack stał tak blisko, że wyraźnie widziała kolor jego oczu. W zasadzie nie były szare, tylko... siwe, niczym dym wiszący nad ogniskiem. - Nie jestem gejem.

Zaczerwieniła się aż po koniuszki uszu.

- Podśluchiwałeś.

- Prędzej czy później będziesz musiała powiedzieć Charlesowi prawdę.

- Wiem.

- A to nie koniec.

- Co jeszcze?

- Baby. Wyraźnie mnie nie lubi.

Riley zmarszczyła brwi.

- Więc nie chodź tam. Zawiadomię Hattie.

- Chyba że dasz mi małą premię za pracę w trudnych warunkach.

W jego oczach błyszczały wesołe iskierki.

- A może być butelka chianti do dzisiejszej kolacji?

- Układ stoi - oznajmił Jack.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz złapał ją za rękę.

- Mnie też kiedyś będziesz musiała wyznać prawdę.

Riley wyszła z windy na czele watahy psów. Na wszelki wypadek postanowiła je policzyć. Po porannych przygodach miała zamęt w głowie. Podczas spotkania z szefem ekipy remontowej kilka razy prosiła, by powtórzył pytanie, bo nic nie zrozumiała.

Doberman Roscoe i pudelka Gigi dzielnie rwały naprzód, szarpiąc smycze, które Riley trzymała w prawej dłoni. Nieco z tyłu dreptały dwa złote retrievery, George i Gracie. Lekko trącały ją nosami, żeby zwróciła na nie uwagę.

- Jakieś kłopoty, panno Foster? - zapytał umundurowany strażnik.

- Patrzę tylko, czy mam je wszystkie, panie Gaffney.

- To raczej one panią mają - roześmiał się dobrodusznie w odpowiedzi.

Riley zawtórowała mu wdzięcznym śmiechem. George dał krok naprzód, a Gracie popchnęła go pyskiem.

- Tak; tak... Jesteś piękny. Ty też, Gracie. - Riley poklepała je po łbach.

Roscoe warknął głucho na wchodzącą kobietę. Riley spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła matkę Jeffa.

- Chłopcy spali choć trochę? - z uśmiechem zapytała matka.

- Spali? powtórzyła Riley.

- Wiem, wiem. Głupie pytanie. Jeff wrócił rano, wsadził nos w lodówkę, a potem niemal od razu powędrował do łóżka. Co to było? Następny maraton Hitchcocka czy retrospektywny przegląd filmów Coppoli?

- Nie... jestem pewna... - wyjąkała Riley.

- Znam to uczucie. - Matka Jeffa ruszyła w stronę windy. - Następnym razem niech Ben wpadnie do nas.

Riley niewidzącym wzrokiem patrzyła prosto w ścianę. Skoro Ben nie był u Jeffa, to gdzie się podziewał? Przypomniała sobie fragmenty rozmowy, którą usłyszała w kuchni.

„Jeszcze parę takich okazji i już będziemy ustawieni”.

A jeśli Ben okradał jej klientów, by mieć pieniądze na kręcenie filmów?

Gigi zaskomlała cicho.

- Dobrze, dobrze... Już idziemy.

Zgarnęła wszystkie smycze w jedną rękę, pchnęła drzwi i wyszła na ulicę. Poszła do parku. Chciała znaleźć jakieś miejsce, w którym będzie

mogła spokojnie pomyśleć. Martwiło ją zachowanie Bena. Czy to możliwe, żeby do spółki z Jeffem okradli państwa Abernathy? Nie. To nieprawda. Ben na pewno mógł to wytłumaczyć...

Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na żółte. Riley stanęła z psami przy krawężniku. Wciąż myślała o Benie. Muszę z nim szczerze porozmawiać, postanowiła w duchu.

Nagle zobaczyła Jacka. Czekał na nią po drugiej stronie, przy wejściu do parku. Strach chwycił ją za gardło, ze względu na Bena, ale z drugiej strony miała ogromną ochotę zwierzyć się dosłownie ze wszystkiego i poprosić o mądrą radę.

Zapaliło się zielone światło. Riley dała krok naprzód i w tym samym momencie ktoś silnie pchnął ją w plecy. Zatoczyła się. Zanim zdołała odzyskać równowagę, jakiś chłopak pochwycił Gigi. Riley poczuła nagłe szarpnięcie

I smycz wymknęła się jej z ręki. Chłopak był już prawie po drugiej stronie, kiedy krzyknęła:

- Łapać złodzieja!

Jack zaklął pod nosem. Nie mógł dogonić łobuza, który wyrwał pudła z rąk Riley. Przed wejściem do parku było za dużo ludzi. Przecisnął się przez tłum, wyskoczył na ulicę i prawie wpadł pod taksówkę. Mimo to biegł nadal, nie zważając na chore biodro. Zresztą nie miał wyboru, jeżeli chciał się na coś przydać. Ból dokuczał mu coraz bardziej. Chłopak kluczył między przechodniami i był coraz dalej. Wreszcie skręcił na wąską ścieżkę wiodącą do Central Parku.

I to był błąd. Jack potrzebował teraz odrobiny szczęścia. Biegł po trawniku, po miękkiej ziemi, aby chociaż trochę oszczędzać nogę. Gdzieś z

tyłu usłyszał szczekanie. Obejrzał się i zobaczył, że Riley, z trzema psami na smyczach, uparcie podąża za nim.

Chłopak był dosyć daleko, ale wciąż w polu widzenia. Jack mijał grupy spacerowiczów, biegaczy i chodziarzy, ale dopiero za zakrętem zobaczył to, czego od początku szukał. Parę jeźdźców, powoli sunących przez trawnik.

Dopadł ich ostatkiem sił.

- Policja... - wydyszał i pokazał odznakę. - Proszę mi pożyczyć konia.

Amazonka natychmiast zsunęła się z siodła i podała mu wodze. Towarzyszący jej dżentelmen nie był tym zachwycony, ale Jack nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wsunął zdrową nogę w strzemię i po chwili znalazł się na końskim grzbiecie. Wreszcie przydały mu się lekcje hippiki, które pobierał w szkole policyjnej.

- Policja! Z drogi! - krzyczał na uskakujących przechodniów. Szybko nadrobił stracony dystans. Bał się jednak, że skok z siodła nie pójdzie mu tak gładko, jak to zazwyczaj pokazują w filmach.

Dopędził chłopaka, wyjął nogi ze strzemion, wziął głęboki oddech i rzucił się w powietrze. Obaj z łoskotem zwalili się na ziemię. Jack jęknął z bólu. Chyba nadwyreżył ramię. Wyrostek leżał nieruchomo, przygnieciony jego ciężarem. Pudel radośnie skakał naokoło, szczekał i próbował polizać Jacka po twarzy.

Riley miała wrażenie, że płuca płoną jej żywym ogniem. Z jej ust wydobywał się świszczący oddech. Nie zwolniła ani na chwilę. Po prostu nie mogła, bo trzy psy ciągnęły ją z całej siły. Z przerażeniem myślała, co by się z nią stało, gdyby przypadkiem się potknęła i upadła.

Kiedy wypadła z za zakrętu, zobaczyła Jacka dosiadającego konia. Był wspaniały... Lecz nigdy nie podejrzewała go, że ma w sobie coś z

samobójcy. Pełna obaw patrzyła na niecodzienny pościg. Strach o Jacka wykrzeszał z niej niespożyte siły. Teraz już biegła równo z psami. Serce podeszło jej do gardła w chwili, gdy Jack skoczył z siodła. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim przyklękła przy leżącej na trawie postaci.

- Jack? Nic ci się nie stało?

Uniósł głowę i coś powiedział, ale jego słowa utonęły w szaleńczym ujadaniu.

- Cicho! - krzyknęła Riley. - George! Gracie!

Nie posłuchały. Jack usiadł. Riley z ulgą osunęła się przy nim na ziemię, lecz chwilę potem zobaczyła, że psi kidnaper też się rusza. Aż ją zatrzęsło ze złości. Wyciągnęła pistolet z plecaka i wcisnęła go w rękę Jacka.

- Jeżeli będziesz musiał, to strzelaj. Uwolniła dobermana ze smyczy.

- Pilnuj ich! - krzyknęła. Pies warknął głucho i obnażył kły. Riley pozbierała resztę swojej czeladki i powiedziała do Jacka:

- Zawiadomię policję. A ty się stąd nie ruszaj.

- Mam czas tylko na kawę - powiedziała Riley, gdy zasiedli w maleńkiej restauracji w rogu supermarketu. - Ben i stryj Avery na pewno już nie śpią. Muszę zrobić zakupy, a potem...

- Pomogę ci. Pamiętasz? Dzisiaj ja gotuję.

- Prawda...

- Musimy porozmawiać. Zjedz coś. - Usiadł po drugiej stronie stolika. Riley przez chwilę bawiła się serwetką. Nerwy, pomyślał. Od samego rana jest czymś przejęta. Duffy też jej nie przestraszył, nie mówiąc już o policjantach, którzy kilka minut temu aresztowali psiego porywacza. Wpada w panikę i denerwuje się tylko wtedy, gdy chodzi o jej rodzinę.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów, Riley wzdrygnęła się nerwowo i strąciła ze stołu łyżeczkę. Jack postanowił odczekać kilka sekund. Nie chciał jej popędzać.

- Idę o zakład, że świetnie sobie radzisz podczas każdego przesłuchania.

- W tej materii jestem najlepszy. Lecz z reguły nie zapraszam przestępców do restauracji.

Westchnęła z rezygnacją.

- Niech będzie. Co proponujesz?

- Pastrami z ryżem.

Zmarszczyła brwi.

- To niezdrowe.

- Nie tylko to. - Wiele rzeczy było niezdrowych lub niebezpiecznych. Jedną z nich miał tuż przed sobą. Wystarczyło, że spojrzał w jej bezdennie głębokie i niebieskie oczy, żeby sobie o tym przypomnieć. - A może wolisz indyka?

- Często tu bywasz?

- Owszem. - Zwłaszcza kiedyś. Ostatnio o wiele rzadziej. Prawdę mówiąc, unikał tego miejsca od dnia, w którym zginął Billy. Nie miał pojęcia, co go to dzisiaj przyciągnęło. Zwykły odruch, nic więcej.

- Miło cię znowu widzieć, Jack. Słyszałam, że byłeś ranny - powiedziała kelnerka, podchodząc do ich stolika. - W nogę, prawda?

- Tak, Maggie. Ale wkrótce wracam do służby.

Zawahała się przez króciutką chwilę.

- Żal Billy'ego. To był dobry dzieciak.

Jack przymknął oczy, Nagły ból przeszył go do szpiku kości. Nieoczekiwanie poczuł czyjąś rękę na swojej dłoni. To była Riley. Otworzył

oczy i ze zdumieniem spojrzął na swoje pobielające palce. Powoli rozluźnił pięść.

- To, co zwykle? - spytała Maggie. Widząc, że Jack skinął głową, popatrzyła na Riley. - Dwa razy?

- Tak - powiedziała dziewczyna.

Kelnerka uśmiechnęła się.

- Dobry wybór. Zaraz podam kufle.

- Kufle? - po jej odejściu cicho powtórzyła Riley. - Nie wiedziałam, że policjanci piją podczas służby.

Jack ze zdumieniem stwierdził, że wcale nie zamierzała pytać o Billy'ego. To dobrze. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat. Ból zelżał.

- Nie jestem na służbie.

Riley przekornie przechyliła głowę i przyglądała mu się przez minutę.

- Mogłabym przysiąc, że przed chwilą byłeś. Kiedy przyszli twoi koledzy, by aresztować złodzieja psów, miałeś marsową minę.

- Lubię mieć taką minę, gdy rozmawiam z innymi policjantami. Zwłaszcza wówczas, kiedy leżę na wznak na ziemi, pilnowany przez dobermana. Nie mogłaś mu powiedzieć, że jestem po twojej stronie?

- Gniewasz się o to? Roscoe na pewno by cię nie ugryzł.

- Jednak woląłem nie ryzykować. Miał większe zęby niż Baby. Przyjrzałem im się, gdy kłapnął szczęką pół centymetra od mojej twarzy.

- Poddaję się. - Riley uniosła ręce. - W gruncie rzeczy powinnam pomóc ci wstać z trawnika, zanim zawołałam patrol. Ale myślałam, że chcesz odpocząć. Nie wiedziałam, czy nie ucierpiałeś po upadku z konia.

- Upadku z konia?! Przecież skoczyłem z siodła na złodzieja! I nic mi nie jest. Odzyskałem twojego kochanego pudła.

Maggie z trzaskiem postawiła przed nimi dwa piwa.

- Wróćcie lepiej do narożników i ochłońcie trochę.

Jack pociągnął długi łyk ze swojego kufła. Spod oka patrzył na Riley. Sprowadził ją tutaj przede wszystkim po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Dlaczego przy niej tracił głowę?

- Zróbmy tak... - powiedział, odstawiając kufel. - Proponuję ci krótki rozejm.

- Co to znaczy?

- Nie będę policjantem, a ty podejrzaną, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Zmrużyła oczy.

- Czyli nie wsadzisz mnie do paki za garść brylantów, które jakimś dziwnym trafem znalazły się w mojej lodówce?

- Pod warunkiem że mnie nie spytasz, co mam zamiar naprawdę z nimi zrobić.

Zmarszczyła brwi.

- Ale...

- Żadne „ale”. Skoro nie jesteś podejrzaną, wcale nie musisz się tym martwić.

Riley namyślała się przez długą chwilę. Kelnerka podała im pastrami.

- Tu jest musztarda i dodatkowy sos do sałatek - powiedziała, zanim odeszła.

Jack sięgnął po musztardę, lecz Riley była odrobinę szybsza. Patrzył na nią ze źle skrywanym rozbawieniem.

- To też niezdrowe - mruknął.

Riley oblizwała palec.

- Jak już szaleć, to na całego - powiedziała.

- Na pewno to zapamiętam.

- Dobrze. Od teraz mamy zawieszenie broni.

- Jak to się stało, że taka miła i porządna dziewczyna zajęła się zwierzętami?

- Znów pytasz - zauważyła. - A miało nie być przesłuchania.

- Nie pytam o nic, co w jakiś sposób łączy się ze sprawą. Po prostu jestem ciekaw. Zawsze chciałaś mieć własne zoo?

- Owszem. - Ponownie sięgnęła po musztardę. - Marzyłam o tym, że w przyszłości zostanę weterynarzem.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- A kto powiedział, że nie zrobię? Potrzebowałam jednak małej przerwy. Po śmierci taty - cień przemknął po jej twarzy - nie miałam pieniędzy na czesne.

- Chyba ci było bardzo ciężko. Strata rodziców, zmiana stylu życia...

Nastroszyła się.

- Znowu wracasz do śledztwa? Twoi koledzy, Markham i Carmichael, są przekonani, że to właśnie skłoniło mnie do kradzieży. Miałam motyw. Stworzyłam Foster Care wyłącznie po to, by mieć swobodny i stały dostęp do mieszkań bogaczy.

Jack spokojnie popatrzył jej prosto w oczy.

- Praca w policji nauczyła mnie przynajmniej tego, że pojedynczy motyw nigdy nie istnieje. Każdą rzecz warto rozpatrzyć na różne strony, bo w przeciwnym razie bardzo łatwo może dojść do katastrofy. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć prawdy? Skąd wziął się pomysł Foster Care?

- Potrzebowałam trochę grosza, a z drugiej strony musiałam zdobyć poważną klientelę, żeby kiedyś założyć hotel i schronisko. Znam mnóstwo osób na Manhattanie, które nie mają zwierząt tylko z tego względu, że nie umiałyby im zapewnić odpowiedniej opieki.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - powiedział Jack.

- Wkrótce na pewno będziesz musiał. Co zrobisz z Abra, kiedy Duffy przywróci cię do służby?

- Zaraz, zaraz... To nie moja kotka. Nie wezmę jej do siebie.

- Stałeś się jej własnością w chwili, gdy po raz pierwszy otarła się o twoją nogę. Ciężko ci będzie ją wyrzucić.

Jack oparł się wygodniej.

- Niech tam... - mruknął. - Założmy, że ją zatrzymam. Na co mogę liczyć ze strony Foster Care?

- Na wszystko, czego ci będzie trzeba, żeby cieszyć się jej towarzystwem i nie żałować, że we dwójkę mieszkacie w Nowym Jorku. Gdy będziesz w pracy, Abra pozostanie pod dobrą opieką. Nie zazna głodu i przykrości.

Riley mówiła z coraz większym zapałem, gestykułując zawzięcie. W umyśle Jacka ani przez chwilę nie powstał cień podejrzenia, że jej entuzjazm może być udawany. Zbyt wiele miała do stracenia, aby okradać swoich klientów. A poza tym... zdążył poznać jej zamiłowanie do porządku. Nie wrzuciłaby łupu do plecaka albo do lodówki. Znalazłaby lepszą kryjówkę.

Rzeczywiście, „źle się działo w państwie duńskim”, jeśli posłużyć się słowami Barda. Riley przerwała na chwilę swoją opowieść i pociągnęła łyk piwa. Jack skorzystał z okazji i zapytał:

- Zrezygnowałaś już z weterynarii?

- Nie. - Znowu zajęła się jedzeniem. - Po prostu przerwałam naukę. Kiedy już finansowo stanę trochę na nogi, sprzedam firmę i zajmę się dalszą edukacją - urwała nagle.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Nic takiego - odparta. - Pewnie cię zanudzam tymi szczegółami. - Popatrzyła na niego. - A co z tobą? - spytała nieoczekiwanie. - Zawsze chciałeś" być policjantem?

- Chyba tak... - powiedział z wolna. - Ale ciotka namawiała mnie, żebym najpierw ukończył jakieś studia. - A to co? - zdumiał się w myślach. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z nikim o swojej ciotce. Zmieszany, sięgnął po kufel.

- Posłuchałeś jej?

- Nie.

- Szkoda. Powinna porozmawiać z Benem. Może jego by przekonała? Jack powoli pokręcił głową.

- Zmarła dwa lata temu.

- Przykro mi... - Riley pogładziła go po dłoni.

- Niewiele zdziałasz, jeśli Ben się uprze, że zostanie filmowcem.

- Ale on... ja... - Niechcący zrzuciła nóż na podłogę. Maggie pojawiła się w polu widzenia.

- Jak tam papu? - spytała.

- Wyśmienite - odpowiedziała Riley. - Ale najpierw muszę wyjść do toalety.

- Z tyłu. Drzwi po prawej stronie.

Jack ze zmarszczonym czołem patrzył za odchodzącą dziewczyną. Miał wrażenie, że już na sam dźwięk imienia brata wpadała w nieopisany popłoch. A to znaczyło, że przeczuwała lub wiedziała coś ważnego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Riley miała w głowie zupełny mętlik. Z trudem zachowywała spokój, idąc na tył restauracji. Jak to się stało, że rozmawiała z Jackiem DeRosą o swoich planach, projektach i marzeniach? Jak to się stało, że zapomniała, kim był naprawdę? Dobrze chociaż, myślała, że w porę padło imię Bena. Bardzo niewiele brakowało, a wszystko bym wypaplała.

Zamknęła za sobą drzwi toalety i rozejrzała się machinalnie po maleńkim pomieszczeniu. Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Jack wybierał się razem z nią po zakupy, a potem wracali do domu. Nie było najmniejszych szans, by mogła porozmawiać z Benem. Kruchy rozejm także dobiegał końca. Już mogła się przygotować na dalsze przesłuchania. Zerknęła w lustro. Nigdy nie potrafiła kłamać. Jack DeRosa od razu wyczułby pismo nosem... Był mistrzem w swoim fachu. Potrafiłby ją skłonić do mówienia.

Ona jednak musiała milczeć, przynajmniej do chwili rozmowy z Benem. Chciała wiedzieć, gdzie byli z Jeffem zeszłej nocy i czy mają coś wspólnego z kradzieżą broszki Hattie. Zamierzała ich jakoś bronić. Ale jak? Mogła przecież zadzwonić z komórki... No tak, ale telefon został w plecaku, przy stoliku.

Odruchowo uniosła głowę i zobaczyła tuż nad sobą małe okienko, wychodzące na tył budynku. Małe, ale wystarczająco duże, aby się przez nie przecisnąć.

Stanęła na zamkniętej klapie od sedesu. Z bliska okno wydawało się jeszcze węższe. Mimo to postanowiła spróbować. Najbardziej obawiała się

skoku na ziemię. Mur pod oknem wznosił się na co najmniej trzy i pół metra. Musiała zatem wyjść nogami naprzód.

Głęboko zaczerpnęła tchu, podciągnęła się na parapet i przełożyła kolano przez futrynę. Dobrze się napracowała, zanim precisnęła biodra. Wolą nawet nie myśleć, jak teraz wyglądała, z głową wciąż w toalecie i pupą na zewnątrz. A co będzie, jeżeli przy zeskoku złamie sobie nogę?

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wszystko w porządku?

To był głos kelnerki. Riley nie odpowiedziała. Krawędź parapetu wbijała jej się w brzuch i tamowała oddech.

- Kochanie, jesteś tam? Jack się denerwuje.

Jack się denerwuje! Ona zaś odchodziła od zmysłów z przerażenia. Lepiej już jak najszybciej zakończyć tę komedię, pomyślała.

Nic się nie przejmuj, wmawiała sobie, centymetr po centymetrze spełzając z parapetu. Dłonie bolały ją ze zmęczenia. Szorstkie cegły drapały ją po twarzy. Teraz jednak nie miała już odwrotu. Wisiała nad otchłanią. Zamknęła oczy i z całej siły wpiła palce w parapet.

Jack zauważył ją, gdy tylko skręcił za róg budynku, i serce zamarło mu ze zgrozy. Riley wisiała na parapecie, lekko kołysząc się w powietrzu, niecałe dwa metry nad ziemią. Podbiegł do niej, choć noga znowu rwała go z bólu. Domyślił się wszystkiego w chwili, kiedy usłyszał od Maggie, że w toalecie jest niewielkie okno. Do diabła, czemu tego nie przewidział? Przecież widział, że dziewczyna wpadła w panikę. Stanął tuż pod nią.

- Puść się, Riley - powiedział. - Zaraz cię złapię.

- Nie mogę.

- Na pewno możesz. - Wyciągnął ręce i objął ją za łydki. - Czujesz mnie? Po prostu puść się parapetu.

Lekko pociągnął ją za nogi, aby dodać jej trochę odwagi. Spadła niemal w tej samej chwili. Ostrożnie postawił ją na ziemi i odwrócił twarzą do siebie. Teraz, gdy była już bezpieczna, miał ochotę sprawić jej lanie.

- Aresztujesz mnie?

- Nie. Ale z chęcią aresztowałbym twojego brata lub stryja, kiedy tylko... Cholera jasna! - Nie przypuszczał, że dziewczyna może stać się jeszcze bledsza. Złapał ją za ramiona i posadził przy ścianie.

- Oddychaj głęboko.

Zrobiła, co jej kazał.

- Nie okradliby moich klientek.

Kucnął przy niej.

- Też tak uważam.

Natychmiast poderwała głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę? A więc twoim zdaniem to Hattie i jej były kochaś?

- Niezupełnie. Hattie boi się policji. Dzisiaj rano mało nie zemdlą w kuchni i nie sądzę, żeby udawała. Nikt w jej wieku nie chciałby wrócić do więzienia. A jeśli to Louis Rocky', to dlaczego nie otworzył sejfów?

- Mimo to Ben i stryj Avery są na liście podejrzanych?

- Tak by się zdawało na pierwszy rzut oka. Wątpię jednak, czy naprawdę chcieliby twojej krzywdy. Wiedzą przecież, że w tym wypadku twoje życiowe plany ległyby w gruzach.

Westchnęła z wyraźną ulgą.

- Właśnie... Cieszę się, że to rozumiesz.

Jack skrzywił się lekko i potarł bolące biodro. Usiadł tuż obok Riley i rozprostował nogę.

- Tak, tylko że potrzeba nam jeszcze dowodów. Sam rozum tu nie wystarczy. Dobry gliniarz musi brać pod uwagę wszystkie możliwości i nie

wolno mu się kierować własnymi sympatiami. Zdradź mi wreszcie, co wiesz, to może dojdziemy do konkretów. Dlaczego próbowałaś uciec przede mną przez okno?

Pokręciła głową.

- To właśnie jest najgorsze.

- Nie rozumiem.

- Wszystko bym ci wyznała, gdybyśmy rozmawiali chociaż minutę dłużej. Gdy jesteś blisko, po prostu nie panuję nad sobą.

Jack patrzył na nią bez słowa, miotany sprzecznymi uczuciami. O czym myślał? W zasadzie to niestety tylko o jednym...

- Riley... Wiesz, co naprawdę przed chwilą powiedziałaś?

- Nie... - Spojrzała na niego z nagłym przestraszeniem. - Nie chciałam...

- Cicho. - Ujął ją pod brodę i zakrył usta pocałunkiem.

Za każdym razem smakowała zupełnie inaczej. Wymruczał jej imię i przyciągnął ją bliżej do siebie. Wcale się nie opierała.

Dla Riley pocałunki Jacka były słodkie... jak czekolada. Chciała więcej. Jęknęła na znak protestu, gdy po chwili się od niej odsunął.

- Nie przerywaj - powiedziała błagalnym tonem.

Jakaś ciężarówka zatrąbiła głośno, wjeżdżając w głąb przecznicy.

Jack wstał i pociągnął za sobą dziewczynę. Ciężarówka przetoczyła się tuż koło nich i pojechała dalej.

- Co teraz? - zapytała Riley.

Jack w duchu zadawał sobie to samo pytanie. W każdym innym przypadku znalazłby właściwą odpowiedź. Ale Riley... Różniła się od znanych mu kobiet. Uświadomił sobie, że od chwili, kiedy ją zobaczył wiszącą na parapecie, ani razu nie wrócił myślami do całkiem podobnego zaułka, w którym zginął Billy. W ogóle o niczym nie myślał, tylko o mej.

Zwykle „co teraz?” przywołało go do porządku. Odsunął się o dwa kroki.

- Trzeba z tym skończyć - powiedział.

- Dlaczego? - spytała Riley.

- Mam zadanie do wykonania... a ty mi w tym przeszkadzasz. - Zobaczył nagły błysk bólu w jej pięknych oczach. Chciał ją pocieszyć, ale z drugiej strony wiedział, że gdy jej dotknie... Wepchnął ręce w kieszenie. - Riley, naprawdę nie powinnaś się ze mną zadawać. Krzywdzę przyjaciół. A poza tym... musimy jak najszybciej oczyścić was z podejrzeń. Ciebie i Bena.

Natychmiast zmarszczyła brwi.

- Nie tak dawno zgadzałeś się ze mną, że na pewno tego nie zrobił.

- Potrzebne nam jakieś dowody. Dzisiejszej nocy nie był u Jeffa, prawda?

Popatrzyła na niego.

- Skąd wiesz?

- Coś cię pchnęło do ucieczki przez okno. Zastosowałem zatem starą policyjną sztuczkę. Blef. Tak jak się spodziewałem, bezwiednie potwierdziłaś moje podejrzenia. Co więcej, wiem, że wychodząc wczoraj, zabrał ze sobą cały komplet kluczy.

- Niezły jesteś. Naprawdę.

Skrzywił się kwaśno. I co z tego, że w tej chwili czuł w jej głosie niekłamany podziw?

- Nie na wiele się dotąd przydałem. Poklepała go po ramieniu.

- Jesteś rekonwalescentem. Nie zapominaj o tym. W dodatku nieźle jeździsz konno i... złapałeś mnie, kiedy spadałam z okna.

- Dzięki. Zmrużyła powieki.

- Śmiejesz się. Czym cię tak rozśmieszyłam? Przecież to wcale nie jest zabawne.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa. Na tyle mógł sobie pozwolić.

- Wyjaśnię ci to później. Teraz porozmawiajmy lepiej o nocnych eskapadach Bena.

Od razu spoważniała.

- Musi być jakieś wytłumaczenie.

- Znam przynajmniej kilka istotnych przyczyn, dla których dwaj dorastający chłopcy chcieliby spędzić noc poza domem. Na pocieszenie dodam, że żadna z nich nie ma nic wspólnego ze złodziejstwem albo rozbojem.

- Ale w dalszym ciągu potrzebny ci jakiś dowód, prawda? Jak go zdobędziesz?

- Pogadaj z Benem w cztery oczy, na przykład dziś po kolacji. Jeśli się będzie wykręcał, to sam z nim porozmawiam, jak mężczyzna z mężczyzną.

- To może poskutkować.

Riley wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę głównej ulicy.

- Wcale nie musisz czekać do kolacji. Pomów z nim już teraz.

Jack zatrzymał się na rogu i gwizdnął na taksówkę.

- Nie wracamy do domu.

- A to dlaczego?

Żółta taksówka ze zgrzytem hamulców stanęła przy krawężniku.

- Winnie zadzwoniła w czasie, kiedy planowałam wielką ucieczkę. Chce natychmiast się z tobą zobaczyć. Powiedziała, że to zbyt poważna sprawa, aby rozmawiać o niej przez telefon.

Gdy tylko weszli, Winnie wepchnęła ich do salonu.

- Co się stało? - Riley z niepokojem rozejrzała się po mieszkaniu. W drodze do Winnie wyobrażała sobie najstraszniejsze rzeczy. Ale na pozór nie zaszło nic groźnego. Prune i Gert siedziały na kanapie, popijając herbatkę. Były z psami. Z adaptera cicho sączył się koncert Szopena. Zza fotela, z głośnym szczekaniem, wyskoczył Baby.

- O co chodzi, malutki? - zapytała Riley. Przykucnęła przed pieskiem.
- To przyjaciel. - Ruchem głowy wskazała na Jacka. - Kucnij koło mnie i wyciągnij rękę - ściszone głosem powiedziała do swego towarzysza.

- Nie chciałbym stracić palców - mruknął Jack, lecz posłusznie spełnił jej prośbę.

- Pokażę ci, co masz zrobić - powiedziała Riley. Wsunęła rękę w dłoń Jacka. Baby obwąchał ich palce. - Teraz go podrap za uszami.

- Niech pan uważa, panie DeRosa - odezwała się nagle Prune. - Ten kundel nigdy nie przepadał za mężczyznami. - Zatrzepotała rękami i poklepała leżącą obok niej poduszkę. - Może się pan przysiadzie? Frack na pewno pana nie ugryzie. Ja też nie.

- Żeby go ugryźć, musiałabyś go najpierw zobaczyć - zamruczała pod nosem Gert.

Tymczasem Baby przestał szczekać. Nieco uspokojona Riley ponownie rozejrzała się po pokoju. Dopiero teraz zauważyła, że jednak kogoś brakuje.

- A gdzie Hattie?

- Napij się herbaty. Wszystko ci zaraz wyjaśnię - powiedziała Winnie.

- Co tu wyjaśniać? - burknęła Gert. - Hattie siedzi zamknięta w bibliotece i grucha sobie z tym przystojniakiem. To detektyw.

- O, właśnie... - przytaknęła lekko zasmucona Prune.

- Ze mną i z Gert spędził zaledwie minutę. Cóż, żadna z nas nie miała męża gangstera...

- Rocky nie był jej mężem - wtrąciła Winnie.

Riley spojrzała na nią.

- Hattie rozmawia z detektywem?

- Nie wiadomo, czy to się skończy tylko na rozmowie - powiedziała Gert.

Winnie szeroko uśmiechnęła się do Riley.

- Skoro policja nic nie może zdziałać, to zwróciłam się do prywatnego detektywa. Nazywa się Sam Romano i pracuje dla dużych firm ubezpieczeniowych. Charles podsunął mi ten pomysł. Boi się, że lada chwila mogą cię aresztować.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi biblioteki i w progu stanęła rozpromieniona Hattie, uczepiona rękawa ciemnowłosego przystojniaka w elegancko skrojonym garniturze.

- Jeszcze raz spytam, dla pewności... jak się pan nazywa?

- Sam. Sam Romano.

- Cieszę się, że pana poznałam. I jest pan w stanie odnaleźć Rocky'ego?

- Raczej bez kłopotu.

Hattie z triumfem popatrzyła na swoje przyjaciółki. Sam ostrożnie posadził ją w fotelu.

- Pan Romano zgodził się przyjąć moją sprawę - powiedziała.

Prune znów poklepała poduszkę i spojrzała w stronę biblioteki.

- Też mam panu coś do wyznania.

- Stoi na lewo - mruknęła Gert. - Po co ci detektyw? Potrzebujesz raczej psa przewodnika.

- Moje panie... - zmitygowała je Winnie. - Pan Romano przede wszystkim ma schwytać złodziei. Powinien chyba porozmawiać z Riley i panem DeRosą.

- Wspominał mi o nowoczesnym sprzęcie, używanym podczas dochodzenia - odezwała się Hattie. - Na pewno znajdzie Rocky'ego.

- Mówił, że ostatnia sprawa zajęła mu niecałą dobę - dorzuciła Prune.

- A ja słyszałam, że tylko dziesięć minut! - nie wytrzymała Gert.

Riley czuła się coraz gorzej. Nie dość, że miała przeciw sobie supergliniarza, to jeszcze teraz superdetektyw...

- Dzień dobry panu - powiedział Jack i skinął głową.

- Dzień dobry - odparł Romano. - Może zacznę od pana?

Riley westchnęła z ulgą. Wreszcie dostała swoją szansę. W czasie gdy Jack będzie zajęty, mogę zadzwonić do Bena, pomyślała. Niestety, w tej samej chwili Jack wziął ją za rękę.

- Zróbmy to lepiej we troje - mruknął i pociągnął ją za sobą do biblioteki.

Sam Romano zamknął za sobą drzwi i zapraszającym gestem wskazał na skórzaną kanapę.

- Proszę, panie DeRosa. Z tego, co słyszałem, podjął pan pracę wczoraj.

- Nie musimy udawać, Romano. Riley wie, że jestem gliniarzem.

Dziewczyna popatrzyła na nich z osłupieniem.

- Znacie się?

- Tak - odparł Jack.

- Jack przez pewien czas pracował z moim bratem - wyjaśnił Sam. - Od razu domyśliłem się, że nie mogę go zdradzić.

- Starsze panie są przekonane, że pracuję u Riley - dodał Jack.

Sam popatrzył na niego ze zdumieniem, a po chwili skomentował:

- A główna podejrzana zna twoją tożsamość?

- To długa historia. Powiem tylko w skrócie, że chrześniak Winnie Cantrell jest naszym komisarzem. Zatelefonował do mojego szefa i zmusił go do podjęcia określonych działań. Panna Riley zgodziła się na współpracę. A ty jak się w to wplątałeś? Przecież w gruncie rzeczy zajmujesz się szpiegostwem przemysłowym.

Sam wyszczerzył zęby.

- Winnie Cantrell ma wielu chrześniaków. Jeden z nich z kolei jest moim dyrektorem. Powiedziała mu, że policja schrzaniła sprawę i że trzeba oczyścić pannę Foster z zarzutów. Przypuszczam, że już to zrobiłeś - zakończył, siadając w fotelu.

- Nie - odparł Jack.

Sam był wyraźnie zaskoczony.

- Więc wciąż ją podejrzewasz?

- Też nie, ale nie mam na to wyraźnych dowodów.

Sam porozumiewawczo uśmiechnął do Riley.

- Policja coraz gorzej daje sobie radę. Przysparzają mi dodatkowej pracy. Czasem tego jest więcej, niż mógłbym udźwignąć.

Jack parsknął lekceważąco. Riley zrozumiała, że już nieraz spierali się na ten temat. Sam Romano śmiał się w dalszym ciągu, ale Jack siedział naburmuszony.

- Do rzeczy, Sam - mruknął.

Detektyw spojrzał na niego spod oka.

- Zostawiasz znaki?

- Znaki? - powtórzyła Riley.

- Owszem - odparł Jack, nie zwracając na nią uwagi.

- Możecie przestać? Rozmawiacie, jakby mnie tu nie było!

- Rzeczywiście. To karygodne z naszej strony. Przepraszam panią, panno Foster. Bywa, że się zapominam, kiedy rozmawiam z gliniarzami.

- Brak ci ogłady - mruknął Jack. Sam z uśmiechem uniósł obie dłonie.

- Rozejm. Wróćmy do sedna sprawy. - Odwrócił się do Riley. - Mógłbym dostać jeszcze odrobinę herbaty? - zapytał czarującym tonem.

- Oczywiście - odpowiedziała bez namysłu i uniosła się z kanapy.

- Tylko nie myśl o ucieczce - rzucił za nią Jack. Poczekał, aż zamknęła drzwi, i zerknął na Sama.

- Wcale nie masz ochoty na herbatę.

Sam spoważniał.

- To prawda. Chciałem chwilę porozmawiać z tobą bez świadków, w cztery oczy. Wydaje mi się, że zbyt subiektywnie podchodzisz do tego śledztwa.

- Nieprawda.

Sam przypatrywał mu się przez kilka sekund.

- Skąd wiesz, że to nie ona?

- Instynkt mi to podpowiada.

- A co twój instynkt mówi o jej krewnych?

- Że są niewinni.

- Zostaje zatem grono staruszek, zgromadzone w tamtym pokoju, i Louis Rocky Mancuso. Co o nich sądzisz?

- To samo co ty - westchnął Jack.

- Brat i stryj dziewczyny wydają mi się bardziej podejrzani. Zgadzasz się ze mną?

Jack smętnie pokiwał głową.

- A jeśli im to udowodnię? - naciskał Sam.

Jack pomyślał o brylantowej broszce Hattie i kosztownościach państwa Abernathy. Prawdę mówiąc, to dowód winy Bena lub Avery'ego od dawna nosił przy sobie.

- Pójdą siedzieć.

Sam wygodniej rozparł się w fotelu.

- Wiesz, co mój instynkt mi podpowiada? - spytał.

- Pewnie zaraz i tak się dowiem.

Sam uśmiechnął się z wyższością. Ile razy widziałem ten sam uśmiech na podwórku, kiedy graliśmy w koszykówkę? - zastanawiał się Jack. Pod tym względem bracia Romano byli do siebie podobni. Najmłodszy i najmniejszy z nich Sam miał w sobie najwięcej zadziorności.

- Coś ukrywasz - powiedział Sam - lecz bądź pewny, że wyciągnę to z ciebie.

Riley otworzyła drzwi do biblioteki i niepewnie stanęła w progu.

- Przegapiłam coś bardzo ważnego? - zapytała. Weszła do środka i postawiła tacę na stoliku.

Sam uśmiechnął się nagle. Jack próbował zrobić to samo.

- Sam uważa, że ukrywam ważne dowody - powiedział lekkim tonem.

Riley musiała się bardzo pilnować, żeby nie rozlać herbaty.

- Dziwne jednak, że jeszcze nie rozwiązał całej zagadki - gładko dokończył Jack i wziął filiżankę do ręki.

- Och... - jęknął Sam, skrzywił się komicznie i przycisnął rękę do piersi, jakby ugodzony strzałą. Potem zabrał ze stołu pióro i notatnik. - Pora brać się do pracy. Wydobędę od kuratora adres Rocky'ego i popytam trochę wśród taksówkarzy. Dowiem się, czy żadna ze staruszek nie składała nocnej wizyty u państwa Abernathy. Pozostają więc: Riley, Ben i stryj Avery.

- Oni na pewno tego nie zrobili - zaprotestowała Riley. - Nie chcieliby mi zaszkodzić.

- Żaden z nich nie ma alibi - wtrącił Jack.

- To nieprawda! - zawołała Riley. - Stryj Avery spędził ubiegłą noc u Harolda.

- Nie zdążyłem tego sprawdzić - odparł Jack. - Myślę jednak, że w razie potrzeby Harold skłamię, broniąc Avery'ego. Ben uparcie twierdził, że idzie do Jeffa, a przecież dobrze wiesz, że wcale tak nie było.

- Nie spytaliśmy go, gdzie nocowali - przypomniała mu Riley.

Sam stuknął piórem w notatnik.

- Będą się kryć nawzajem. A co z panią, panno Foster?

- Prawie przez cały czas byłam w swoim mieszkaniu - odpowiedziała.

- Z wyjątkiem chwili, kiedy pan DeRosa postanowił...

- Pojechaliśmy do Hattie Silverman - wpadł jej w słowo Jack. - Riley chciała sprawdzić, czy Hattie przed pójściem spać nakarmiła swojego pieska. Otworzyła drzwi własnym kluczem.

Sam zmierzył go spojrzeniem.

- Byłeś z nią?

- Tak.

- Nie odstępowałeś jej przez cały wieczór?

Jack popatrzył mu prosto w oczy.

- To, co teraz ci powiem, nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

- Zgoda. - Sam skinął głową.

- Moim zdaniem, Riley na pewno była w domu... Nie wiem jednak, co się zdarzyło przez całą godzinę. Spałem.

Sam zrobił okrągłe oczy ze zdumienia.

- To wcale nie jego wina - szybko wtrąciła Riley. - Uśpiłam go tabletką przeciwbólową.

- Uśpiła pani? - Zerknął na Jacka. - Uśpiła cię?

- Tak - mruknął DeRosa.

- Rwało go w biodrze, bo próbował mi pomóc w czasie napadu. Co prawda, to było tylko dwóch zwykłych wyrostków...

Jack uniósł dłoń.

- Nie wątpię, że Sam chętnie wysłuchałby tej opowieści, lecz wracajmy do faktów. - Popatrzył na detektywa. - Zasnąłem podczas pełnienia obowiązków i nie mogę jednoznacznie stwierdzić, że Riley Foster nie była w tym czasie w mieszkaniu państwa Abernathy.

Sam odłożył na bok pióro i notatnik.

- Uważam, że należy śledzić każdego z podejrzanych aż do czasu następnej kradzieży.

- Masz tylu ludzi? - spytał Jack. Detektyw spojrzał na zegarek.

- Do jutra da się to załatwić.

- Chwileczkę! - wtrąciła Riley, - Chcecie śledzić Bena i Avery'ego?

- I wszystkie starsze panie. W ten sposób zdobędziemy namacalny dowód, że nikt z was nie brał udziału w przestępstwie - wyjaśnił Sam.

Lub dowód winy, pomyślała Riley. Wstała, a właściwie zerwała się z kanapy.

- Nie zgadzam się. Nie pozwolę traktować członków mojej rodziny jak kryminalistów.

Jack podniósł się, podszedł do niej i oparł ręce na jej ramionach.

- Pomyśl przez chwilę, dobrze?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Jak mogła choćby na moment zapomnieć, że jest policjantem?

- To nie zabawa - powiedział. - Ktoś okrada twoich klientów. Jeśli to nie Ben ani nie Avery, to nie musisz się niczym martwić. A jeśli to jednak któryś z nich... - zawiesił głos. - Chyba lepiej będzie, kiedy to Sam i ja pierwsi poznamy prawdę. Czego się boisz? Że to właśnie oni?

- Nie. - Ale Ben rzeczywiście coś przed nią ukrywał. Nagle zdała sobie sprawę, że Sam mówi do niej.

- ... kogo moglibyśmy dodać do listy podejrzanych. - Spojrzał na Jacka. - Masz jakichś kandydatów?

DeRosa pokręcił głową.

- Nie. Chyba że...

- Chyba że co? - zapytali chórem Sam i Riley.

- A może od początku idziemy złym tropem? Może to coś więcej niż zwyczajna kradzież? Może Riley przeszkadza komuś w interesach?

- Robota konkurencji? - spytał Sam. Zerknął na Riley i ponownie sięgnął po notatnik. - Mogłaby pani sporządzić dla mnie taką listę?

Popatrzyła tępo na notatnik, a potem na niego.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy.

- Po kim pani przejęła klientów? - zapytał Sam. -A może ktoś miał ochotę na ten sam lokal, w którym pani urządza hotel dla zwierząt? To na początek. Proszę pisać, a Jack w tym samym czasie zapozna mnie z wynikami oficjalnego śledztwa.

Riley ze zmarszczonym czołem usiadła nad otwartym notesem. Był taki jeden facet, który się pojawił tuż po tym, kiedy podpisała umowę wynajmu... Wściekał się, że go uprzedziła. Nie pamiętała tylko, jak on się nazywał... Dokładnie opisała więc całe wydarzenie i przygryzła końcówkę pióra. Śmieszna sprawa...

Gdzieś zniknęła swobodna atmosfera poprzedniej rozmowy. Jack i Sam z powagą wymieniali fachowe uwagi. Sam dużo gestykulował i mówił o wiele więcej od Jacka, ale to właśnie Jack wzbudzał w niej niezachwianą pewność. Wiedziała, że na nim zawsze można polegać.

- Riley?

Zamrugła gwałtownie. Z trudem wróciła do rzeczywistości. Jack i Sam przyglądali się jej z uwagą.

- Przepraszam. Co się stało?

- Skończyłaś pisać?

Spojrzała w notes. W kilku słowach udzieliła Samowi dodatkowych wyjaśnień.

- To pewnie bez znaczenia - dokończyła.

- Sprawdzę - lakonicznie odparł detektyw. - Poza tym chciałbym wiedzieć, kto jeszcze, poza panią, ma dostęp do mieszkań klientów. Jack wspomniał mi, że dysponuje pani paroma kompletami kluczy.

- Ściśle mówiąc, trzema. Zrobiłam dodatkowe komplety dla Bena i Avery'ego.

- Czy Ben czasem zabierał Jeffa na swój obchód?

- Owszem - ostrożnie odparła Riley. - Ale to przecież jeszcze nie znaczy...

- Niczego nie sugeruję. Chcę tylko wiedzieć, kto był w posiadaniu kluczy. - Przeniósł wzrok na Jacka. - To samo pewnie tyczy stryja Avery'ego i Harolda.

- Chyba tak - zgodził się DeRosa.

- Policja wie o tym? - spytała Riley.

- W aktach nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki o innych podejrzanych - odpowiedział Jack. - Bu ludzi do tego weźmiesz? - zapytał Sama.

Detektyw uśmiechnął się.

- To zależy, jak szybko mój szef zechce zakończyć tę sprawę. Krótki telefon od matki chrzestnej na pewno tu nie zaszkodzi. Wspomnę jej o tym przed wyjściem. Ale i tak nie ściągnę wszystkich do jutra rana.

- Zatem dziś trzeba się zaopiekować przynajmniej Benem i stryjem - zakonkludował Jack. - Uda się nam zatrzymać Bena w domu? - spytał Riley.

- Oczywiście - odparła. - Przecież robisz spaghetti. Miała też szczerą ochotę dłużej porozmawiać z bratem.

Na osobności.

Sam westchnął ciężko.

- Czyli mnie przypada Avery...

- Właśnie - z satysfakcją potwierdził Jack.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co to za zielenina? - zapytał Ben.

- Świeża bazylia. - Jack wskazał na pęczek leżący na stole. - A tam pietruszka.

Ben pokręcił nosem.

- Miałem nadzieję, że zrobisz spaghetti z klopsami.

- Ben nienawidzi warzyw - wyjaśniła Riley, podchodząc do ściennej szafki.

- Bazylię i pietruszkę dodaje się do sosu... - zaczął Jack, lecz umilkł na głos Barda:

- Dalej! Żwawo! Hasa! Hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!

- Czy ten ptak ma cytat na każdą okazję? - Jack odwrócił się i stwierdził, że od czasu gdy wrócił z zakupami, do kuchni zwały się tłumy. Ben wyłonił się z biblioteki, Beowulf napierał mu na nogi, Abra wskoczyła na stół, żeby obejrzeć pietruszkę, Avery zaś, odziany w czerwony aksamitny szlafrok, w malowniczej pozie opierał się o futrynę.

- Wspaniały ptak. Szkolony w teatrze - mruknął.

- Tylko że klepie w kółko wciąż to samo, gdy zabieramy się do gotowania - po cichu dodał Ben.

Abra porzuciła pietruszkę i przeniosła się w pobliże paczki z wołowiną.

Jack błyskawicznie pchnął zawiniątko w stronę Bena.

- Pilnuj tego - polecił.

Riley przyniosła ronderek.

- To wprawdzie nie kocioł czarownic, lecz też się może przydać. Największy, jaki mamy.

- Doskonały - oznajmił Jack.

- To świetnie. Chodź, Ben. - Riley wytarła dłonie w dzinsy. - Zanim Jack zrobi kolację, zdążymy porozmawiać.

- A nie możemy zrobić tego później? - zaprotestował Ben. - Chciałem popatrzeć, jak się przyrządza sos.

- Musimy... - zaczęła.

- Pozwól mu - poparł bratanka Avery. Wyjął z kieszeni notes i zasiadł przy stole. - Trzeba to wszystko zapisać.

- Zapisać? - zdziwił się Jack.

- Oczywiście! Nigdy nie wiadomo, co może się w życiu przydać. Kiedyś w poważnym filmie grałem rolę kucharza. Zamordowano mnie, gdy robiłem suflet. - Stryj wyciągnął ołówek i z nadzieją spojrzał na Jacka. - Nawet nie zauważysz, że tu jestem.

- Ben... Porozmawiajmy lepiej teraz - nie ustępowała Riley.

- Och, daj spokój. - Chłopak odwrócił się do Jacka. - Może... eee... dałbyś się sfilmować?

- Sfilmować? - Jack uniósł głowę.

Sześć par oczu patrzyło wyłącznie na niego.

- Muszę ćwiczyć pracę z kamerą - niepewnie wyjaśnił Ben. - Wiesz, zbliżenie, szwenk, najazd, i tak dalej...

Jack miał wrażenie, że ktoś go umieścił pod lupą mikroskopu.

- Nigdy nie kucharzyłem dla potrzeb telewizji - mruknął.

Prawdę mówiąc, od dawna już nic nie gotował. Przynajmniej od dnia, w którym został ranny w nogę.

- Nawet nie zauważysz, że to jestem - zapewnił go żarliwie Ben.

- Nie wystarczy ci, że Jack zrobi nam kolację?... - zaczęła Riley.

- Proszę...

Jack nie miał sumienia, żeby się sprzeciwić.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - ochoczo zapytał Ben.

- Pomożesz mi w przygotowaniach.

- Ja? - zdziwił się chłopiec. - Nie znam się na tym.

- To nie astronautyka - odparł Jack. - Ciotka uczyła mnie gotować, kiedy byłem dokładnie w twoim wieku.

- Serio? - w głosie Bena słychać było ślad wątpliwości. - Zawsze myślałem, że robota w kuchni jest tylko dla dziewczyn.

- Bzdury - wtrącił się Avery. - Najślynniejsi kucharze to zawsze mężczyźni.

- Zapomniałeś o Julii Child - zauważyła Riley.

- To dlaczego sam nie gotujesz? - zaciekał się Ben.

- Nigdy nie miałem czasu, żeby się nauczyć - powiedział Avery.

- Jeśli wszyscy razem weźmiemy się do pracy, to o wiele wcześniej siądziemy do stołu - podsumował Jack.

Dziesięć minut później oparł się o kredens i z uśmiechem patrzył na krzątanicę kuchcików. Powietrze przesycala woń bazylii, czosnku i cebuli.

Łup! Ben walnął tasakiem w główkę czosnku, jakby mordował zaciętego wroga.

- Ekstra! - Spojrzał na Avery'ego. - Zrobię to szybciej od ciebie.

- To nie wyścigi, drogi chłopcze. - Avery kroił cebulę z niezwykłą powolnością, dbając o to, by wszystkie plastry były równej grubości. - Każda dziedzina sztuki wymaga niezwykłej precyzji.

- Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej! - zawtórował mu Bard.

- Tak, tak. Na pewno. - Głuchy stuk tasaka zdusił wszystkie pozostałe dźwięki.

- Nie mam talentu do gotowania - odezwała się Riley, odkładając nóż.

- Nieprawda - zaprzeczył Jack. - Chcesz być weterynarzem? To musisz uczyć się chirurgii, więc przyzwyczajaj się do noża.

Popatrzyła na niego spod oka.

- Niezły jesteś. Naprawdę. Mówiłam ci to już kiedyś? Na dobrą sprawę powinieneś zostać psychologiem.

Uśmiechnął się.

- Trzymaj nóż w ten sposób. - Położył rękę na jej dłoni. Razem zaczęli kroić bazylię. - Prowadź ostrze łagodnie, to nie połamiesz listków. Stąd się bierze różnica w smaku.

Nauczyła go tego ciotka. Liście bazylii brązowały pod zbyt silnym naciskiem noża i stawały się dużo mniej smaczne. Godzinami przesiadywali w maleńkiej kuchni, zanim na dobre posiadał tę sztukę. Do dziś pamiętał kuszący zapach potraw i ciepły dotyk rąk ciotki...

- Już - odezwała się nagle Riley.

- Co już? - Jack drgnął, jakby obudzony z drzemki.

- Skończyliśmy kroić. - Przyjrzała mu się uważnie. - Coś mi się zdaje, że wróciłeś z jakiejś odległej podróży.

Z odległej? - pomyślał. Raczej nie... Dawne mieszkanie ciotki było jakieś pięćdziesiąt ulic dalej, w Village. Ciasne i bez ciepłej wody. Żyli z dnia na dzień. Utrzymywali się z jej niewielkiej pensji i napiwków, które dostawała, pracując w restauracji. A mimo wszystko był to... dom. Poczul w sercu nagłą tęsknotę.

- Ale już jestem - mruknął. Popatrzył na Riley. Tak bardzo chciał jej znowu dotknąć, przytulić, pocałować...

- Skończyłem - oznajmił Avery.

Jack szybko opuścił ręce i odsunął się od dziewczyny.

- Mówiłeś, że to nie wyścigi! - zawołał Ben.

- Bo to prawda - odparł Avery. - Z nikim się nie ścigałem. Po prostu skończyłem pierwszy.

Uniósł ręce, niczym chirurg po wyjątkowo trudnej operacji, i podszedł do zlewu.

- Teraz muszę się umyć.

Woda. Jack odkręcił kran.

- Ja też skończyłem - oświadczył Ben i szybko stanął przy zlewie. - I byłbym pierwszy, gdybyś nie oszukiwał.

- Tere-fere - roześmiał się Avery.

- A co powiecie na mały rewanż? - spytał Jack i sięgnął po wołowinę. - Zobaczymy, kto szybciej zrobi więcej klopsików.

Po kolacji przez kilka minut rozmawiali o filmach Hitchcocka. Zdaniem Bena był to jeden z największych geniuszy kina. Riley z upodobaniem brała udział w dyskusji do czasu, aż w pewnej chwili padło słowo „detektyw”.

Detektyw. Sam Romano. Wróciła do rzeczywistości. Machinalnie zaczęła sprzątać puste talerze ze stołu.

Avery niemal natychmiast uniósł się energicznie ze swojego miejsca.

- Już tak późno? - zapytał ze zdziwieniem. - Trochę się zagadaliśmy. Wybaczcie, że wam nie pomogę, lecz obiecałem Haroldowi, że dzisiaj do niego wpadnę.

- Też się zbieram - powiedział Ben.

- Zaczekaj. - Riley wybiegła za nim do przedpokoju. - Nigdzie dzisiaj nie pójdziesz.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Przecież mamy sobotę. Jestem już umówiony.

- Nie puszczę cię, dopóki nie porozmawiamy.

Ben wybałuszył oczy.

- Mam szlaban? Za co?

Riley głęboko zaczerpnęła tchu. Coś ją ścisnęło w gardle.

- Obiecałeś, że po kolacji poświęcisz mi małą chwilę.

Spojrzał na zegarek.

- To bardzo pilne? Jeff na mnie czeka.

- To, co ci chcę powiedzieć, dotyczy także Jeffa. Nie byłeś u niego zeszłej nocy.

- Szpiegujesz nas? - zaperzył się Ben.

- Nie. - Ale od jutra zacznę pomyślała. - Przypadkowo spotkałam jego mamę. Była przekonana, że Jeff spał u nas. Chciałabym wiedzieć, gdzie byliście.

Ben poczerwieniał.

- Nie jesteś moją matką. Nie muszę ci się zwierzać.

- Masz rację. - Za rok kończył osiemnaście lat, więc nie mogła na niego krzyknąć. Zresztą to w niczym by nie pomogło. Położyła mu rękę na ramieniu. - Ale wiesz dobrze, że policja nas podejrzewa. Nie skończy się na jednej rewizji. Potrzebne nam jakieś alibi.

Zachnął się.

- Myślisz, że byłbym zdolny okradać twoich klientów?

- Oczywiście, że nie. Chcę tylko wiedzieć, gdzie byłeś ubiegłej nocy. Mówiłeś, że idziesz do Jeffa.

- W ostatniej chwili zmieniliśmy zdanie. Spędziliśmy noc u Henry'ego. To ci wystarczy?

Riley ze smutkiem pokręciła głową. Kłamał. Była o tym święcie przekonana.

- Lepiej będzie, jak dziś zostaniesz.

- Nie masz prawa mi rozkazywać...

Przerwał. Riley wyczuła instynktownie, że Jack wszedł do przedpokoju.

- Ben? - spytał spokojnie. - Wzięłbyś Beowulfa na spacer? Ja przez ten czas pomogę Riley posprzątać w kuchni.

Ben zawahał się chwilę, lecz zaraz skinął głową.

- Zgoda.

Zagwizdał na psa i już go nie było. Riley spojrzała na Jacka.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że coś wymyślisz, żeby go zatrzymać.

- Lepiej niech idzie do Jeffa. Pouczą się matematyki - odparł z dziwnym uśmiechem.

- Podejrzewam, że kłamię. Znam tego Henry'ego. Jego rodzice wciąż są poza domem. Gdybym do niego zadzwoniła, na pewno by powiedział, że Ben i Jeff spędzili tę noc u niego.

- To nie musi być kłamstwo. - Jack zajął się zmywaniem.

- Więc co proponujesz? - spytała.

- Pójdziemy za nim... - zaczął i urwał, bo w drzwiach kuchni stanął stryj Avery.

- Czy ktoś mógłby wyprowadzić psa? - zapytał.

- Beowulfa?! - z niepokojem zawołała Riley.

- Przyszedł do mnie przed chwilą i patrzył błagalnym wzrokiem. - Avery spojrzał na zegarek. - Gdyby nie to, że muszę się ogolić i iść do Harolda...

- Zaraz się tym zajmiemy - obiecał Jack.

Riley zajrzała do pokoju Bena. Pusto. Z trudem panowała nad ogarniającym ją przerażeniem. Jedno wiedziała na pewno - Ben coś kręcił. Nie uciekałby po kryjomu, by spotkać się z kolegą.

- Źle się dzieje w państwie duńskim!

Spojrzała na papugę. Bard doskonale wyczuwał, co się święci.

Kiedy tylko wyszli z budynku, Jack rozejrzał się po ulicy. Jakiś samochód dwukrotnie błysnął światłami.

- To Sam. - Jack pociągnął Riley za sobą. Zatrzymali się tuż przy aucie.

- Widziałeś przed chwilą chłopca? Wysoki, szczupły nastolatek...

- W baseballowej czapce i z plecakiem? - dokończył Romano. - Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w Osiemdziesiątą Piątą.

- Tamtędy idzie się do Jeffa - powiedziała Riley. Sam spojrzał na nią.

- To był pani brat? Myślałem, że miał dzisiaj wieczorem siedzieć w domu...

- Zmiana planów - przerwał mu Jack. - Pożycz mi swój samochód.

- To duża zmiana - zaprotestował Sam.

- Odwdzięczę ci się - powiedział Jack. - Stryj Avery właśnie kończy się ubierać i zaraz idzie do Harolda. Dogonisz go na piechotę.

Sam wprawdzie pokręcił głową, ale wysiadł. Dopiero teraz zobaczył Beowulfa.

- Po co ci pies? - zapytał.

- Och, ci prywatni detektywi... - westchnął Jack. - Zawsze tak wolno myśla...

Wskoczył do samochodu, zczekał na dziewczynę i ruszył z piskiem opon. Skręcił, przejechał jeszcze kawałek i zwolnił.

- Jest.

Ben maszerował szybkim krokiem. Riley próbowała otworzyć okno, lecz Jack ją powstrzymał.

- Nie wołaj go. Więcej się dowiemy, jeśli nie będzie miał pojęcia, że za nim jedziemy.

Droga do domu Jeffa zabrała im dwadzieścia minut. Ben niczego nie zauważył. Na pewno był przekonany, że mu się udało. Zatrzymał się przed drzwiami Jeffa, lecz nie wszedł do środka. Rozejrzał się i - ku zdumieniu Riley - podszedł do czarnej, lśniącej limuzyny. Wsiadł. Czarny samochód powoli ruszył.

Jack w pogoni za zbiegiem minął skrzyżowanie na czerwonym świetle. Riley odruchowo przytrzymała się fotela.

- Zabijesz nas! - zawołała.

- Spokojnie - odparł Jack. - Przez trzy lata jeździłem wozem patrolowym i nie miałem żadnego wypadku.

- Może wyszedłeś z wprawy? - mruknęła z niepokojem. Myśli jak błyskawice przelatywały jej przez głowę.

A jeśli Ben został porwany? Lub jechał na spotkanie z handlarzem narkotyków?

Następny zakręt, jeszcze jeden... Jack zahamował nagle, bo limuzyna stanęła przed barierą ustawioną w poprzek rzeźnię oświetlonej ulicy. Za barierą był tłum ludzi.

- Co się tu dzieje? - spytała Riley.

- Chyba film kręcą - mruknął Jack.

Otworzył drzwi i wysiadł.

- Zostań - rzuciła Riley do Beowulfa i poszła za przykładem Jacka.

Ben i jeszcze jeden chłopiec, w którym rozpoznała Jeffa, już byli za barierą. Jack chciał pójść za nimi, ale natknął się na żywą przeszkodę w postaci barczystego ochroniarza.

- Przepraszam, nie ma wstępu.

- To ty, McClusky? - spytał Jack.

- Pan inspektor DeRosa! - Twarz ochroniarza pojaśniała w szerokim uśmiechu. - Miło znów pana spotkać.

- Sierżant McClusky to dawny policjant z naszego posterunku - wyjaśnił Jack, widząc zdumienie Riley.

- Witam szanowną panią - ukłonił się McClusky. - Niestety, nie mogę państwa wpuścić. Wylaliby mnie z roboty.

- Wpuścił pan mojego brata - powiedziała Riley. - To ten, co przed chwilą wysiadł z czarnej limuzyny.

- Aaa... Gość drugiego reżysera - spokojnie odparł Irlandczyk. - Mamy go na naszej liście.

- Co on tu robi?

- Proszę zaczekać, zaraz sprawdzę. - McClusky odszedł w głąb ulicy. Po chwili wrócił. - Pani brat i jego kolega mają zgodę członków ekipy. Nasz reżyser był z pogadanką w jakimś kółku filmowym i tak się poznali. Siedzą tu już dwie noce.

- Ktoś to może potwierdzić? - sucho zapytał Jack.

- Oczywiście. Dostali nawet stałego opiekuna. To ten, co ich tutaj przywiózł. Po zakończeniu zdjęć odwozi ich do domu.

- Dobry gliniarz na zawsze pozostanie gliniarzem. - Jack uśmiechnął się do byłego sierżanta. - Wielkie dzięki za pomoc.

McClusky wyszczerzył zęby.

- Do rana na pewno wrócą. Jeśli chcecie, to osobiście przypilnuję, by na czas wsiedli do samochodu i nie kręcili się już po mieście.

- Będę cholernie wdzięczny - mruknął Jack.

Riley przypatrywała mu się z podziwem. Nagle zdała sobie sprawę, że jest w nim zakochana. W Jacku DeRosie... W człowieku, którego poznała zaledwie wczoraj... W policjancie, który z początku podejrzewał ją o kradzieże.

Wcale nie chciała o tym myśleć, chociaż ciągle czuła na wargach smak jego pocałunków. I co ja mam teraz z tym wszystkim zrobić? - zastanawiała się bezradnie.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack znalazł wolny stolik w dobrze oświetlonej kawiarni, tuż przy ogromnym oknie wychodzącym wprost na ulicę. Już dwa razy przejechał koło domu Harolda, ale nigdzie nie zauważył Sama. Pozostawało więc im tylko czekać.

- To na pewno tutaj? - zapytał Riley.

- Vincent Building na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Trzeciej.

Wprawdzie nie mam tu żadnych klientów...

Umilkła, bo w tej samej chwili kelnerka podeszła do stolika. Na plastikowej plakietce na piersiach miała wypisane imię „Bridget”. Jack zamówił kawę, a Riley - napar z mięty. Kelnerka z uśmiechem skinęła głową i odeszła.

Riley potarła czoło.

- Boli cię głowa? - zapytał Jack.

- Trochę. - Opuściła rękę.

- Wracaj do domu. Nie musisz czekać na Sama.

- A kto będzie moim alibi?

Zagryzł wargi. Zapomniał, że ona także znalazła się w kręgu podejrzeń.

- Najważniejsze, że wiemy, co z Benem. Niepotrzebnie się nim martwiłaś.

Bridget przyniosła im napar i kawę.

- Mimo to kłamał - powiedziała Riley, biorąc do ręki filiżankę. - A nie powinien.

- Gonił za swoim marzeniem. Wszyscy to robią... przynajmniej od czasu do czasu.

- Masz rację. - Przechyliła głowę. - Źle zrobiłam, że go podejrzewałam. W gruncie rzeczy nie miałam do niego zaufania, a przecież niczym sobie na to nie zasłużył.

Spojrzała w dół.

- Jestem nieludzko zmęczona. Tak bym chciała, żeby już było po wszystkim...

- I będzie - zapewnił ją Jack. - Moim zdaniem, Avery też nie ma z tym nic wspólnego. Prawdopodobnie wyszedł gdzieś z Haroldem, a Sam powlókł się za nimi.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się z przymusem. - Zapomniałam, że dziś sobota.

- Co zwykle robisz w weekendy?

- Zaczynasz mówić jak Winnie. To ona mnie namawiała na randki z Charlesem.

Jack poczuł nagle ukłucie zazdrości. Nie chciał ciągnąć tego tematu. Popatrzył Riley prosto w oczy i nagle wziął ją za rękę. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Riley przewróciła się na bok i popatrzyła w okno, na światła metropolii. Nie mogła zasnąć. Zegar wskazywał kwadrans po pierwszej. Coś poruszyło się przy łóżku. To był Beowulf. Z klatki doleciał ją szelest skrzydeł. Bard też nie spał?

Zapaliła światło.

- Wybaczcie, chłopcy.

Pies łypnął na nią z wyrzutem, ale nie uniósł głowy.

- Precz, precz, przekłeta plamo! - zaskrzeczał Bard.

Riley spojrzała na niego.

- Nie mam koszmarów - powiedziała stanowczym tonem. - To całkiem coś innego. Jestem tchórzem.

- Tchórz umiera wiele razy przed śmiercią - oznajmiła papuga.

- Jestem tchórzem jedynie wtedy, gdy chodzi o Jacka - wyjaśniła mu Riley.

- Słabości! Nazwisko twoje: kobieta - stwierdził Bard. Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Wcale mi nie pomagasz.

Wstała z łóżka i bosy podeszła do drzwi. Na moment stanęła w progu i zerknęła przez ramię na papugę.

- Nie jestem słaba.

- Precz! Precz, powiadam! - odciął się Bard.

Jack spał na kanapie w bibliotece. Powiedział, że w ten sposób na pewno usłyszy, kiedy wrócą Ben i Avery. Podeszła do niego, zawahała się chwilę, a potem delikatnie wsunęła się pod kołdrę. Natychmiast otworzył oczy.

Było jej ciepło. Chyba zasnąłam, pomyślała. Leżała, wtulona w silne ramiona Jacka. Czowała się dziwnie bezpieczna, radosna i wypoczęta.

Naraz rozległo się głośnie skrzeczenie.

Drgnęła przestraszona. Jack łagodnie pogładził ją po włosach.

- To tylko Abra - wyjaśnił. - Złości się, że ją wyrzuciłem za drzwi.

Zaszurały kocie pazury. Riley rozwarła powieki i stwierdziła nagle, że jest całkiem naga. Przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jack.

- Chyba tak. - Uniosła głowę i wsparła się na łokciu.

Jack uśmiechnął się. Odpowiedziała mu też uśmiechem. Ale natychmiast spoważniała, słysząc zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

- Dzięki, że mnie podwiozłeś, Ben - dał się słyszeć głos Avery'ego.

Riley zamarła z przerażenia.

- Nie ma sprawy. To samochód pana Wellera. Zawsze po zakończeniu zdjęć ktoś nas odstawia do domu.

Ben i Avery byli w przedpokoju! A ona... Jack... leżeli razem... nago...

Abra miauknęła głośno.

- Co ten kot tu robi? - zapytał Avery.

- Pewnie szuka Jacka - odpowiedział Ben. - Strasznie się łąsi do niego.

Jack pochylił głowę.

- Schowaj się za kanapą - szepnął prosto do ucha dziewczyny.

W przelocie zgarnęła górę od pizamy i poczołgała się we wskazane miejsce.

- Zaraz po zdjęciach w Nowym Jorku pan Weller zabiera się do nowego filmu. Wspomniał, że może znów cię zatrudni i da o wiele większą rolę - powiedział Ben.

- Dobrze by było - westchnął Avery. - Ale to pieśń przyszłości. Pożyjemy, zobaczymy... Na razie musi nam wystarczyć to, co akurat mamy. I ani słowa Riley. To będzie dla niej niespodzianka. Moje obecne honorarium z pewnością pokryje wszystkie koszty adaptacji wnętrza na potrzeby Foster Care.

- Chyba żartujesz? - zaperzył się Ben. - Ode mnie na pewno nie usłyszysz ani słowa. Jeszcze by mnie obsztorcowała, że przesiaduję na planie, zamiast ślęczeć nad matematyką - dokończył wesoło.

Ziewając głośno, rozeszli się do swoich pokojów. Jack podniósł się pomału, uchylił drzwi, wpuścił Abreę i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili wrócił do Riley.

- Teren czysty - wyszeptał po chwili.

Wciągnął koszulę i spodnie.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Na dół, do Sama. Na pewno przyszedł wraz z nimi. Z tego, co słyszę, Ben i Avery mają wspaniałe alibi. Trzeba poszukać innych podejrzanych.

Abra podbiegła do niego, też gotowa do wyjścia. Złapał ją za grzbiet, podniósł i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze. Nigdy nie chciałem mieć kota. I teraz też nie chcę.

Życie płata nam różne figle, pomyślała Riley.

Sam schował telefon do kieszeni i wygodniej rozparł się w fotelu.

- Dziś powinienem dostać adres Rocky'ego - powiedział i spojrzał na zegarek. - Pani Cantrell obiecała mi, że o dziesiątej zabierze Hattie na dłuższy spacer. To da nam okazję, aby przeszukać jej mieszkanie. - Przyjrzał się Riley. - Skąd ta smutna mina? Pani rodzina została oczyszczona z podejrzeń.

- Teraz się martwię o Hattie - odparła.

- Na pewno też jest niewinna. - Jack wstał z kanapy

I zaczął krążyć po pokoju.

- Tylko brak na to dowodów - westchnął Sam. Riley potarła ręką czoło.

- A co się stanie, jeżeli wyeliminujemy wszystkich podejrzanych? - spytała nagle.

- Trzeba będzie poszukać nowych - mruknął Jack. -Kto najwięcej zyska na likwidacji Foster Care?

Riley zastanawiała się przez kilka sekund, a potem pokręciła głową.

- Nikt. Jestem o tym zupełnie przekonana.

- Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby rzucić na ciebie podejrzenie - zauważył Jack. - Ale kto?

Spojrzał na Sama.

- Zróbmy chronologiczną listę wszystkich kradzieży. Detektyw sięgnął po notes i przerzucił parę kartek.

- Już to zrobiłem. Wszystko zaczęło się trzy tygodnie temu, u Winnie Cantrell. Kolejnymi ofiarami były jej przyjaciółki z kółka brydżowego. Dopiero wówczas policja zaczęła podejrzewać obecną tu pannę Foster. Od tamtej pory sprawca przyspieszył swoje działania. Dwa dni temu obrabowano Hattie Silverman. Przedwczoraj to samo zdarzyło się u państwa Abernathy. Wspomniana kradzież miała miejsce tu, w tym budynku.

- W dodatku ktoś podrzucał łupy do mieszkania Riley - oznajmił Jack. Sam rzucił na niego przeciągłe spojrzenie.

- Wiedziałem, że coś ukrywasz.

- Nie było potrzeby, żeby wcześniej o tym wspominać.

- Policja oczywiście niczego nie znalazła? - spytał Sam.

- Nie. - Jack pokręcił głową. - Riley, mógłbym cię prosić o kawę?

- Nigdzie nie wyjdę - odparła. - Ale proszę, rozmawiajcie zupełnie swobodnie, jakby mnie tu nie było.

Sam przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzył na Jacka.

- Wiedziałeś, że to nie ona - stwierdził.

- Złóż to na karb intuicji.

Detektyw westchnął i rozłożył przed sobą plan miasta. Widniały na nim cztery czerwone kółka.

- Coś tu nie gra - zauważył Jack. - Poślij swoich ludzi do każdego z tych czterech budynków.

- We wszystkich były kradzieże? - spytał Sam.

- Nie - odparł Jack. - I to właśnie daje mi do myślenia. Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, rozległ się terkot telefonu.

- Halo - rzucił Jack do słuchawki.

Przez moment panowała cisza.

- Chciałbym rozmawiać z Riley. Jack rozpoznał głos Charlesa Cantrella.

- Jeszcze śpi. Mam jej coś przekazać?

- Ktoś znowu okradł moją ciotkę. Moim zdaniem, Riley powinna tu przyjechać.

- Powiem jej o tym - obiecał Jack i nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę na widełki.

- Kto to był? - zapytała Riley.

- Charles Cantrell. Miał dobre i zarazem złe wieści. Dzisiaj w nocy doszło do kolejnej kradzieży, więc całkowicie zostajesz poza podejrzeniem. Z przyjemnością powiem o tym Duffy'emu.

- A zła wiadomość?

- Kradzieży dokonano u Winnie.

- Dolać komuś herbaty? - zapytała Winnie, wchodząc do salonu. Postawiła tacę na stole.

Riley rozejrzała się. Jack i Sam wyszli już dawno temu, zajęci dochodzeniem. Przedtem jednak zdążyli wyjaśnić całemu zgromadzeniu, jaka była naprawdę rola Jacka w tej sprawie. Chyba nie trzeba dodawać, że

wzbudziło to żywą reakcję wśród wszystkich obecnych staruszek. Dyskutowały więc na przemian to o Jacku, to o detektywie. Czas mijał niepostrzeżenie. Riley przysłuchiwała się rozmowie, lecz myślami błądziła gdzieś daleko. Drgnęła na dzwonek telefonu.

Winnie podniosła słuchawkę.

- Słucham? Och, to ty, Charles. Wszystko w porządku. Tak, jest tutaj...

- Popatrzyła na Riley. - Chce z tobą rozmawiać.

- Riley? - rozległ się głos Charlesa. - Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Przyjdź sama, bez swojego domorosłego ochroniarza. Czekam na dole, w kawiarni.

Dziewczyna zawahała się. Jack prosił, żeby nigdzie nie wychodziła. Ale Charles miał rację. Musieli porozmawiać. Choćby po to, by mu wyjaśnić, że między nimi wszystko skończone.

- Zaraz przyjdę.

- Naprawdę? Bardzo panu dziękuję - Sam schował do kieszeni telefon komórkowy. Skręcili w przecznice. -Rocky Mancuso też odpada. Cały zeszły miesiąc przeleżał w szpitalu ze złamanym biodrem. Nie zadzwonił do Hattie, bo się wstydził swojej niezgrabności.

- Kto zatem nam zostaje?

Jack z namysłem popatrzył na drugą stronę ulicy, na jedyny budynek, w którym nic złego nie spotkało klientów Foster Care.

- Zastanawiałem się, w jaki sposób złodziej mija ochronę. Pewnie przychodzi nocą, bo to najbezpieczniejszy sposób. Udaje Riley, Bena lub Avery'ego. Wystarczy przecież, aby miał przy sobie plecak z nadrukiem „Foster Care” i komplet kluczy. Riley pracuje w ciągu dnia, więc nocny portier nie musi pamiętać jej twarzy.

- Domyślam się, o co ci chodzi. Ale dlaczego tu nie było żadnej kradzieży?

- Chyba wiem. Złodziej boi się, że go rozpoznają. Mieszka tutaj.

- Jasne! - zawołał Sam i uśmiechnął się szeroko.

- Rzućmy okiem na listę lokatorów - powiedział Jack i wysiadł z samochodu.

- Cześć, Tommy - uśmiechnęła się Riley, wychodząc z domu Winnie.

- Dwie wizyty w niedzielny poranek? - zdziwił się portier. - To chyba rekord, panno Riley.

Zamarła z ręką na klamce.

- Dwie? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Czy właśnie tak pan powiedział?

Tommy pokiwał głową.

- Kiedy zjawiała się policja, to zerknąłem do naszej księgi. Ten nowy, co tu siedzi nocą, zanotował, że przyszła pani o trzeciej piętnaście. Podobno Baby pani Silverman dostał jakiejś kolki. Już mu lepiej?

- Tak, dziękuję. - Riley podeszła do dyżurki. - Mogę zobaczyć tę notatkę?

- Oczywiście.

Popatrzyła na podpis. Nieźle podrobiony. Nigdy nie przychodziła tutaj o tak późnej porze. Nocny portier wcale jej nie znał, więc skąd mógł wiedzieć, że ma do czynienia z oszustką i złodziejką? Chciała zadzwonić do Jacka, lecz przypomniała sobie, że nie zna numeru jego telefonu komórkowego. Nie znała też numeru do Sama.

Powoli wyszła na ulicę. W tej samej chwili wyrósł przed nią Charles.

- Bałem się, że już nie przyjdiesz.

- Jestem wściekła - warknęła. - Ale nie na ciebie.

Wziął ją pod rękę. Przez chwilę szli w milczeniu. Riley, zatopiona w myślach, nawet nie patrzyła, gdzie idzie.

- Ktoś się pode mnie podszywa i okrada moich klientów - powiedziała wreszcie.

- Powinnaś wreszcie wynająć adwokata... - zaczął Charles.

- To niepotrzebne - wpadła mu w słowo. - Jack był przez cały wieczór ze mną. Mam niezbitą alibi.

- Sądysz, że mu uwierzą? - sucho wycedził Charles. Riley wyczuła zmianę w jego głosie i uniosła głowę ze zdumieniem. - Powinnaś przyjąć moją ofertę.

To nie były przyjazne słowa. Riley zatrzymała się nagle, ale Charles mocniej uchwycił ją pod ramię.

- Wszystko przez ciebie - burknął. Wyjął pistolet z kieszeni. - Tu skręcimy i zaczekamy na Christine. Nie próbuj krzyczeć, bo cię zastrzelę.

- Nie ma jej u Winnie. - Jack odłożył telefon i z niepokojem popatrzył na Sama. - Wyszła zaledwie parę minut temu, żeby zobaczyć się z Cantrellem. Gaz do dechy.

Samochód detektywa pomknął przez skrzyżowania.

- Wcale nie wiemy, że to Cantrell - mruknął Sam. - Co prawda znaleźliśmy go na liście lokatorów...

- Mam przeczucie - przerwał mu Jack.

To samo przeczucie towarzyszyło mu, kiedy po raz ostatni odwiedzał ciotkę w szpitalu. I kiedy pierwszy raz poszedł za Riley w głąb zaułka...

Sam zwolnił, widząc czerwone światło.

- Jedź! - ponaglił go Jack. - Jak ci wlepią mandat, biorę to na siebie.

Zapisały opony gwałtownie hamujących pojazdów.

- Szef mnie zabije, jak będę miał wypadek.

- Jeszcze tylko dwie przecznice.

Po chwili dojechali do domu Winnie Cantrell.

- Na Christinę? - z przerażeniem zapytała Riley.

Chciała krzyknąć na całe gardło lub rzucić się do ucieczki. Lecz stojący koło niej młodzieniec z pistoletem w dłoni nie był już tym grzecznym Charlesem co niegdyś.

- Czeka w kawiarni. Przyjdzie do nas, kiedy zobaczy, że skręcamy tutaj, w ten zaułek. Tak to sobie wymyśliła.

Riley z trudem panowała nad strachem. W głowie kołatało jej tylko jedno: Zmusz go, żeby nie przestawał mówić. No, dalej.

- Nic nie rozumiem - powiedziała z udawanym spokojem. - Co do tego ma Christina?

- To był jej pomysł, żeby okradać te stare baby. Kiedyś, jak byliśmy razem z tobą u Winnie na herbatce, przyniosła wosk i wzięła odciski twoich kluczy. Wiedziała, że policja zacznie cię podejrzewać, ale denerwowało ją, że śledztwo trwa zbyt długo. Podrzuciła ci więc część łupów.

- Włożyła broszkę Hattie do plecaka Bena? - spytała Riley.

- Tak.

- Ale brylanty... To nie ona. Ty je włożyłeś do lodówki.

Charles zmarszczył brwi.

- Policja ich nie znalazła?

- Nie. Jack był szybszy... - Riley chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz Charles zatrzymał ją silnym szarpnięciem za rękę.

- Stój. Zaczekamy.

- Zawsze tak pilnie słuchasz swojej siostry?

- Nie. Tym razem miałem też własne plany. Chciałem, żebyś została moją żoną. W ten sposób zatrzymałbym całą forszę.

- Jaką forszę?

Pchnął ją w stronę śmietnika.

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- O czym?

Dłonie Charlesa drżały jak w febrze. Lufa pistoletu kołysała się na boki. Riley powoli zrobiła krok do tyłu. Jeszcze jeden...

- Nie mam żadnych pieniędzy - powiedziała.

- Mówię o Winnie. Po zmianie testamentu zapisała ci większość majątku.

Riley zamarła w bezruchu.

- Nieprawda.

- Prawda - odparła Christina. Jej obcasy zastukały głośno w cichym i mrocznym zaułku. - Zastrzel ją.

- Zastrzel ją.

Te dwa słowa eksplodowały echem w uszach Jacka. Powoli czołgał się wzdłuż muru, nie odrywając oczu od rozgrywającej się przed nim sceny.

- To ty chcesz ją zabić - mruknął Charles do siostry.

- Masz.

Podał jej pistolet.

Jack zaklął pod nosem. Nie mógł strzelać, bo Riley stała na linii ognia. A Romano był za daleko, ukryty za jakimś pudłem.

- Przecież to ty zaważyłeś sprawę - burknęła Christina. - Nie udało ci się jej uwieść. Wykończ ją.

- To twój pistolet.

- Nie umiem strzelać.

Jack przykucnął i, ciągle na kolanach, przesunął się o kilka metrów. Z przerażeniem zobaczył, że Riley ukradkowo wsuwa dłoń do torebki. Sięgała po sikawkę.

Rzucił się do biegu. Sam niemal równocześnie z nim wyskoczył z kryjówki. Charles uniósł dłoń, lecz Riley strzeliła pierwsza. Rozległ się dziki wrzask. Pistolet Charlesa upadł na ziemię. Coś huknęło i Jack poczuł nagle szarpnięcie w ramieniu.

A potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Riley podbiegła do niego.

- Jesteś ranny? Masz krew na ręce.

Zabolało go dopiero wtedy, kiedy bezpiecznie zamknął ją w objęciach.

- Moim zdaniem, powinieneś jechać z tym do szpitala - powiedziała Riley. Policja już zabrała rodzeństwo Cantrellów. Sam Romano wdał się w rozmowę z przybyłym inspektorem.

- To tylko draśnięcie. Nic mi nie jest. Oboje żyjemy... Przycisnęła policzek do jego piersi.

- Bałam się, że cię stracę - szepnęła.

Przez chwilę trwali w milczeniu.

- Dobrze, że miałam broń pod ręką. - Riley pociągnęła nosem.

Jack pozwolił sobie na niewielki uśmiech.

- Zawsze mnie ratujesz. Ale teraz musimy poważnie porozmawiać.

Popatrzyła na niego z nagłym niepokojem.

- Dlaczego teraz? Jesteś ranny i masz mętlik w głowie, więc...

- Wcale nie. - Głębiej zaczerpnął tchu. - Wyjdiesz za mnie?

Wlepiła w niego osłupiałe spojrzenie.

- Za ciebie? - powiedziała bez sensu.

Nastroszył się.

- Wiesz chociaż, ile trzeba mieć odwagi, żeby powiedzieć coś takiego?

To nie zdarza się codziennie!

Riley wybuchnęła śmiechem.

- Wybrałaś romantyczne miejsce! Wśród śmietników... Będzie o czym opowiadać wnukom!

Z całej siły przytulił ją do siebie.

- Mam rozumieć, że powiedziałaś „tak”? - zapytał.

- Tak - odparła z niekłamana radością.

- Kocham cię, Riley. - Pocałował ją prosto w usta.

- I ja cię kocham - szepnęła.

RS

EPILOG

Wesele było huczne, chociaż Riley wolałaby zapewne skromniejszą ceremonię. Ben został drużbą Jacka, a stryj Avery poprowadził bratanicę do ołtarza. W dodatku sam zapłacił za całą uroczystość. Dzięki niewielkiej roli w filmie Wellera wrócił do pracy w telewizji. Ben z kolei, za namową Jacka, wybierał się na uniwersytet. A za dwa tygodnie miało nastąpić otwarcie hotelu i schroniska Foster Care.

Riley stała pośrodku sali z wiązanką w ręku. Kto ją złapie? - pomyślała. Hattie, Gert i Prune stały ramię w ramię jakieś trzy metry za nią. Winnie wolała towarzystwo Harolda i Avery'ego. Po prawej kołysał się Bard, a po lewej wspierał się na szczudle Louis Rocky Mancuso.

- Masz łatwy wybór - szepnął Jack. - Sam i Ben wycofali się z konkurencji. W gruncie rzeczy, podejrzewam, że chcą się tylko najęść. Pod pewnym względem przypominają mi Beowulfa.

- Przestań się wahać, Riley! - Gert wyciągnęła rękę i przyjęła pozycję łapacza na basebalowym boisku. -Rzucaj!

- Słabości! Nazwisko twoje: kobieta - odezwał się Bard.

- Dość tego. Rzucam - oznajmiła Riley. Odwróciła się tyłem do gości.

- Powiesz mi, kto złapał - mruknęła do Jacka.

- Sama zobacz. - Odwrócił ją w chwili, gdy wiązanka wciąż jeszcze leciała w powietrzu. Uderzyła o sufit, rozsypała się i opadła deszczem kwiatów. Winnie złapała różę, Gert i Harold po orchidei, a na głowę Prune posypały się stokrotki. Hattie trąciła laską resztki wiązanki i posłała ją prosto w kierunku Rocky'ego.

- To my, Rocky! - krzyknęła. - Jesteśmy następni w kolejce!

- Wyśmienicie to załatwiłaś. - Jack przygarnął zonę do siebie.
- Nie każdy ma tyle szczęścia, co my, kochanie... - zdążyła powiedzieć, zanim zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem.

RS